Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Kilka uwag w sprawie reformy Ustawy łowieckiej

skreślił

MIECZYSŁAW PASZKUDZKI.

Skoro na najbliższej sesyi sejmowej ma być przedłożony projekt nowej ustawy łowieckiej, pozwalam sobie także przesłać Szanownej Redakcyi „Łowca“ kilka uwag w tym względzie.

Oczywiście, celem ustawy jest ustanowienie przepisów, któreby popierały rozmnożenie zwierzyny pożytecznej, a z drugiej strony uchyliły wszystkie te czynniki, które przyczyniają się szkodliwie do jej ubytku. W tych dwu kierunkach ma działać ustawa, o ile środki, jakich ma użyć do tego, okażą się praktycznie zastósowalne, a w wynikach skuteczne, o tyle zadanie ustawodawcy będzie lepiej spełnione, a zadanie wykonawcy ustawy ułatwione. Mając ciągle styczność w urzędowaniu z wykonaniem przepisów administracyjnych łowieckich, zapatruję się na nie ze stanowiska praktycznego i z tego też stanowiska dotknę braków i zalet dotychczasowych przepisów, a trafności projektowanych. Bo przecież rzecz najważniejsza, by ustawa, którą się daje urzędnikowi do wykonania, była zastósowalną i dało się nią osiągnąć cel pożądany, inaczej lepiej się nie trudzić jej wydaniem.

Z obecnych ustaw łowieckich przestarzały patent z roku 1786 zawiera przepisy ogólne o zakresie prawa polowania, a co do dzików, pozwala je po za zwierzyńcami strzelać każdemu i o każdej porze, równie jak wilki i inne szkodliwe drapieżne zwierzęta. Co do lisów, zmodyfikowanym jest §. 3. tego patentu ustawą z roku 1875. Patent ten przedstuletni ma układ jurydycznie wadliwy i niedokładny, a przy wykonaniu trudnym jest do ścisłego zastósowania i nieuchwytnym. Przepis jego jednak o dzikach i wilkach zachowanym być musi, lecz w taki sposób, by to się stało bez krzywdy dla właściciela obszaru, na którym znajduje się zwierzyna szkodliwa. Więc winno być wolno strzelać ją każdemu na drodze lub ścieżce publicznej, lecz bez wstąpienia na terytoryum obce, czemu wreszcie już stoją na przeszkodzie ustawy polowe i lasowe. By zaś dziki i wilki wytępiać, na to jest środek zawsze łatwo zastósowalny, to jest obławy urzędowe. Środek ten zupełnie wystarczy w danym razie. Jednak wyraźnie winna ustawa postanowić, że starostwo m u s i na żądanie zwierzchności gminej urządzić obławę, a gmina, względnie gminy sąsiednie, dostarczyć nagonki w ilości żądanej przez starostwo. Właściciele polowania sąsiednich terytoryów byliby obowiązani dostarczyć pod karą, straży lasowej i myśliwskiej, jako myśliwych do takiej obławy. Pozwolenie ustawą każdemu udzielone, by mógł wstąpić na grunt cudzy w celu tępienia szkodliwej zwierzyny, b e z w a r u n k o w o nie może

być danem ustawą, gdyż prowadziłoby to do wszelkich nadużyć na niekorzyść właściciela polowania. Uchwała ankiety o udzielaniu bezpłatnych certyfikatów półrocznych na użycie broni w celu tępienia zwierzyny szkodliwej, jest bardzo wątpliwej praktycznej wartości, postawi starostwo w bardzo kłopotliwem położeniu, a ułatwi kłusownictwo. Uzasadnionym byłby tylko przepis, by na obławach urzędowych wolno było jawić się każdemu, chociaż nie mającemu karty na broń. Stanowczo zaś niesłusznem byłoby postanowienie płacenia za zabitego przez kogoś dzika 3 zł., względnie 2 zł., gdyż w ogóle bardzo ostrożnym musi być ustawodawca w żądaniu od kogoś, by płacił za rzecz, której kupić nie chce. Takie premje tylko fundusze publiczne płacić mogą, a że ustawa powinna koniecznie utworzyć z kar i opłat fundusz krajowy łowiecki, więc z niego należałoby płacić te premje.

Co do szkód, zrządzonych przez zwierzynę szkodliwą, przepis §. 15. patentu z roku 1786 jest niejasnym, gdyż nie podaje wyraźnie, kto jest odpowiedzialnym za te szkody. Trudno, bo niesprawiedliwie, byłoby włożyć tę odpowiedzialność na właściciela obszaru, bo to rozmożenie bez jego woli stać się mogło. Tylko gdy właściciel hoduje i pielęgnuje taką zwierzynę umyślnie (fakt żywienia da się łatwo udowodnić), w takim tylko razie należy go pociągnąć do wynagrodzenia szkód. Prócz tego wypadku należy zwierzynę tępić obławami. Zresztą każdy przyzna, że zbytnie rozmnożenie zwierzyny bez pomocy właściciela obszaru, jest niejako klęską elementarną i prawodawca wyrządziłby mu krzywdę, żądając odpowiedzialności.

Bardzo słusznym jest przepis §. 14. tego patentu, zakazujący polowania po gruntach cudzych, a choć to już wypływa z kodeksu karnego i z ustawy polowej i lasowej, niemniej powinna ustawa łowiecka zabronić wstąpienia na grunt cudzy z bronią lub innymi przyborami myśliwskimi, pod wysoką sankcyą karną.

Co do §. 17. patentu, należy bewzględnie pozwolić strzelanie psów i kotów, włóczących się po polu lub lesie bez właściciela, a nadto należy ustawą upoważnić żandarmeryę i straże publiczne do strzelania psów i kotów na terytoryach łowieckich. W szczególności żandarmerya winna dostawać urzędownie wynagrodzenie z funduszu krajowego myśliwskiego za zabicie włóczącego się psa lub kota, bo działalność ta odnosiłaby się i do zakresu bezpieczeństwa publicznego, wiadomo bowiem, ile wypadków wścieklizny zdarza się co roku. Wynagrodzenie możnaby oznaczyć od ogona, lub na podstawie certyfikatu zabicia, wystawionego przez urząd gminny. Niewiadomo czemu przypisać należy wstrzemięźliwość ankiety w obec kotów, które tylko w odległości odmierzonych 70 metrów od obejścia możnaby strzelać. Zapewne ankieta chciała w tym promieniu chronić kota, łapiącego myszy. Kot wychodzący po za obejście budynków jest już szkodliwym, a z doświadczenia wiemy, że kot, który nauczył się wychodzić w pole, choćby tylko parę metrów od obejścia (opłotków wsi), jest karygodnym nałogowcem i winien być strzelanym. To jowialne, a w praktyce trudne określenie przez ankietę odległości, w jakiej kotom wolno chodzić na spacer, świadczy o nieuzasadnionej stronniczości ankiety na niekorzyść psów, a przecież kot myśliwy gorszy od myśliwego psa.

Inne przepisy patentu z roku 1786 są bez praktycznej wartości i przestarzałe lub w ogóle bez znaczenia.

Patent z roku 1849 o dzierżawie polowania w głównych zasadach prawnych jest trafnym, lecz we formie i sposobie przeprowadzenia postawionej zasady, zmian potrzebuje. Mianowicie przymus dzierżawy polowania na gruntach nie mających jednolitej przestrzeni 200 morgów, należy utrzymać. Powiększenie tej przestrzeni do 300 morgów miałoby wielorakie praktyczne trudności, objęłoby wiele ciał tabularnych, gdzie polowanie jest odpowiednio prowadzone, a zresztą w kraju, gdzie komasacya nie jest przeprowadzoną, nie wiele jest parcel o jednolitych 300 morgach. Przeprowadzenie licytacyi polowań należy oddać bezwarunkowo starostwom. A ten przepis właśnie i oddanie tego wykonania starostwom jest decydującego znaczenia, oddanie go gminom lub wydziałom powiatowym popsułoby całą doniosłość przepisu. Nie chcę podawać w wątpliwość wartości autonomii, lecz gdy ona u nas jest małoletnim tworem, należy ją pozostawić przy obecnym zakresie, by dojrzewała wykonując takowy, a nie pomnażać jej atrybucyi rozstrzelając działalność. Lubo kwestya, komu się wydzierżawi polowanie gminne, kto będzie sąsiadował z własnością większą, gdzie przypuszczalnie zwierzyna więcej jest szanowaną i t. d., jest bardzo ważną dla całego rozwoju gospodarstwa łowieckiego w kraju, to przecież każdy zgodzi się na to, że starostwa lepiej wywiążą się z tego zadania, pod warunkiem pomocy ze strony kompetentnej, o czem niżej. By zaś i pierwiastek autonomiczny dopuścić do współdziałania, należy już w ustawie dopuścić ingerencyę tak wydziałów powiatowych, jak, co ważniejsze, Towarzystw łowieckich, żeby takowe były uprawnionemi do wnoszenia remonstracyj i rekursów przeciw zarządzeniom starostw. Bez określenia tej kompetencyi w ustawie, ingerencya taka tychże byłaby niedopuszczalną prawie. Wreszcie należałoby delegatów powiatowych łowieckich, uznając ich za organa oficyalne Towarzystwa, upoważnić do dawania opinii, a względnie do powyższych przedstawień i odwołań.

Ustawą należy określić wyraźnie wypadki, w których dzierżawca polowania może utracić wydzierżawione prawo przed upływem czasu dzierżawy, zawsze bowiem wychodzę z założenia, że kwestya dzierżaw polowań gminnych jest jedną z najważniejszych. Ten punkt w ustawie tedy jest koniecznym, a podobno pominęła go ankieta. A co do tego punktu, chcąc przepis skutecznym uczynić, nie można być dość surowym. Wystarczałoby mianowicie jednorazowe prawomocne ukaranie dzierżawcy za przekroczenie ustawy łowieckiej z roku 1874 lub 1875.

Natomiast wymaganie zawodowego wykształcenia od właściciela lub dzierżawcy, żadnego celu nie osiągnie, prócz — śmieszności. Należy poprzestać na ocenieniu odpowiedności kompetenta dzierżawcy wedle wymagań dotychczasowych, ale ściśle, po zasięgnięciu opinii delegata Towarzystwa łowieckiego, a względnie i żandarmeryi lub gminy, względnie przełożonego obszaru. Powinno chodzić o to, by kłusownika lub w ogóle szkodnika do dzierżawy nie dopuścić, a tem się już wiele osiągnie. Cóż dopiero za pełne humoru jest żądanie ankiety, by każdy właściciel i dzierżawca polowania zdawał maturę myśliwską i to przed komisyą, nie mającą często ani pojęcia o polowaniu. Można przecież być znakomitym urzędnikiem politycznym, powiatowym lub krajowym, a znaleźć się w najkłopotliwszem położeniu, mając examinować z umiejętności myśliwskiej takiego hr. Kazimierza Wodzickiego, znakomitego

Nemroda Galicyi, bo oczywiście po wprowadzeniu w wykonanie powyższego projektu, każdy musiałby taki examin złożyć, chcąc się utrzymać przy wykonaniu prawa polowania.

Projekt ankiety, by zabraniano polowania w niedzielę i święta rano jest wręcz chybionym. Ustawy w ogóle strzedz się powinny stanowiska konfesyjnego, sumienie myśliwego należy pozostawić jemu samemu i jego spowiednikowi, a ustawą go nie krępować. Co więcej, z powodów podniesionych przez p. Dziubińskiego w Nr. 11 „Łowca", byłoby to odebraniem wielu ludziom godziwej, a niewinnej rozrywki.

Pomijając jowialne uchwały ankiety, dotyczące uznania jedynie jeleni za szkodliwe zwierzęta (szkoda, że opuszczono hyeny i tygrysy), nadmienię jeszcze, że byłoby bardzo pożądanem zobowiązać ustawą każdego właściciela, a szczególnie dzierżawcę polowania zamiast do examinu, do trzymania przysięgłej straży myśliwskiej, analogicznie do przepisu ustawy polowej. Cel osiągnięty przymusem tym jest widocznym, bo sam fakt istnienia straży każe się z nią rachować kłusownikom, dalej strażnik ustanowiony, już dla tego, że ma tę funkcyę powierzoną, musi cośkolwiek pożytecznego w swym zakresie działać, wreszcie dla ułatwienia dzierżawcom polowania można pozwolić, by na terytorya łącznie nie większe nad 1.500 morgów, był jeden strażnik polowania, a dzierżawców należałoby zobowiązać, by do dni 14 po wydzierżawieniu polowania przedstawili strażnika do przysięgi, pod zagrożeniem utraty kaucyi i praw kontraktu. Towarzystwo łowieckie krajowe powinno zobowiązać swych delegatów, by zawiadamiali władzę powiatową polityczną o braku straży myśliwskiej, która to funkcya zresztą mogłaby być łączoną z obowiązkiem straży polowej lub lasowej.

Kończąc, napomknę jeszcze słów parę o bardzo trafnej myśli hr. Baworowskiego z Ostrowa, by terytorya, na których zwierzostan okazałby się wyniszczonym, zamykano z urzędu na pewien czas i by przez ten czas nikomu bezwzględnie nie wolno było tam polować. Projekt odnośnej komisyi jest praktycznie wykonalnym i trafnym, a sposób ten zaradzenia złemu niejednokrotnie okazałby się skutecznym. Lecz tutaj znowu powtórzyć muszę, że jakiekolwiek będą przepisy i jakiekolwiek ich braki lub zalety, skuteczność ich będzie zależeć od ich *ścisłego* wykonania. Starostwa same z urzędu *nie są w stanie* często nieść skutecznej pomocy, choćby ją nieraz dać mogły, nie wiedząc po prostu o nadużyciach. W wysoko rozwiniętych społeczeństwach ogół pomaga władzy i wzywa jej pomocy, nie jest to przecie donosicielstwem, lecz prostym obowiązkiem, dla tego też za tak pożądane uważam, by krajowe Towarzystwo łowieckie i powiatowi jego delegaci chcieli swe zadanie zrozumieć i spełniać, a ci ostatni nie poprzestając na tytule delegata, istotnie interesowali się tokiem spraw im powierzonych. Przy udzielaniu kart na broń nieraz jest starostwo w tem położeniu, że musi zapytać kogoś o zdanie i opinię. *Gdyby instytucya delegatów umiała zająć poważne stanowisko w swym zakresie w obec władz*, ich rada i opinia byłaby nieocenioną. Jak obecnie, to chyba tylko żandarmerya jest możliwym organem do orjentowania i informowania starostwa w danych wypadkach. Kończę więc propozycyą, by Szanowne Towarzystwo łowieckie zobowiązało swoich delegatów, iżby zechcieli wejść w styczność ze starostwami dla dobra sprawy łowieckiej, by komunikowali starostwom wykazy kłusowników powiatu, ażeby tychże następnie przez żandarmeryę można mieć na oku; by dalej występowali w obec starostw z wnioskami zarządzeń potrzebnych, a wreszcie by opiniowali w danych razach na pewnych uzasadnionych podstawach i w ten sposób skutecznie strzegli interesów łowiectwa.

W Tarnopolu 15. Listopada 1887.

SYLWETKI MYŚLIWSKIE.

1. Gogo.

Elegancki ma kostium i cwikier.
Strzelbę z Niemiec wprost od Peterlonga,
W kamizelce gdzieś nosi naboje,
Rękawiczek z rąk nigdy nie ściąga,
W nocy zwykle przy maczku poluje,
Jedzie w knieję z okiem niewyspanem.
Dzielni strzelcy też patrząc na niego:
„Straszno — szepczą — polować z tym panem".

2. Zapaleniec.

Ma wykrzywiony jeden but
I wzrokiem wiecznie tropi,
Z oczów mu błyska niby żar
Tak, że śnieg w lesie topi.

Można być pewnym, że gdy lis
Wyskoczy tak fatalnie
Koło sąsiada — strzelec nasz
Sąsiada w nogi palnie.

A kiedy sarnę ujrzy — no!
Od strzału się nie wstrzyma,
Choćby miał płacić reńskich sto,
Których w dodatku nie ma.

3. Nieszkodliwy.

Siwawy wąs i w zmarszczkach twarz,
Kapslówka wierna w dłoni,
Choć do wypitki jeszcze zuch
Lecz słabszy do pogoni.

A jeśli strzeli, zwykle trop
Przedłużać się zaczyna,
Po strzale bowiem niby wiatr
Ucieka tak zwierzyna..

4. Gastronom.

Gdy poluje, rzeczy przy nim kupa,
Szynki, ciasta i ryby w auszpiku,
A butelek to chyba bez liku,
Z których ciągle popija — na trupa.

*

Nieszkodliwy, bo choćby dwa dziki
Wprost na niego przyszły do dubletu,
On z manierki dzielne robi łyki,
Lub zajada kawałek pasztetu.
Aż się urznie w przedostatnim miocie,
Że mu wszystko się mroczy i dwoi,
Wtedy chyba da spokój ochocie
I zażywa snu na bryczce swojej.

5. Blagier.

Na koniec niech mi wolno będzie
Wskazać Huberta wam czciciela,
Co mówi, że nie chybia nigdy,
Ale w miotach rzadko tylko strzela.
Nie chybia, bo on tylko bije,
Co siedzi, albo dobrze stoi,
A rzadko strzela znów dla tego
Zwierz pędzi — więc się chybić boi.

* * *

Na tem kończę te moje obrazki,
Lecz nie myślcie, że świat ich tak skąpi,
Mam ich dosyć — to mówię bez maski —
W roku przyszłym ciąg dalszy nastąpi.

Lwów dnia 20. Sierpnia 1887.

Leon Gustaw Dziubiński.

Polowanie na niedźwiedzia.

Uprzejmości panów J. i M. zawdzięczam, iż 16. b. m. telegraficznie powiadomiony zostałem, że w Zakopanem otropiono niedźwiedzia i 17. b. m. polowanie na niego odbyć się ma. Ponieważ dotąd ani ja, ani też zaproszony wspólnie pan K. nie mieliśmy sposobności na niedźwiedzie polować, nie zważając na przysłowie: „*Herren - Dienst vor Gottes - Dienst*“, porzuciliśmy na dwa dni nasze obowiązki, dążąc do Zakopanego, aby choć raz może w życiu zaglądnąć Mysiowi w ślepie. Zimna słota z deszczem od tygodnia już trapiąca okolicę Nowego Sącza, feralna data, bo dzień 17., w którym polowanie odbyć się miało, jako też i ksiądz, który wsiadł do tego samego wagonu na kolei państwowej, gdyśmy do Chabówki, ostatniej stacyi kolejowej do Zakopanego zdążali, nie wróżyły dobrego rezultatu naszej wyprawie.

W Chabówce stanęliśmy o godzinie 1. w południe, zkąd w pocztowem pudełku, w którem wprawdzie nie mokro, lecz nader ciasno było, przybyliśmy około godziny 6. do stolicy tutejszego powiatu, Nowego Targu. Tu wynająwszy góralski wózek jednokonny, kryty płótnem, rozpiętem na obręczach, puściliśmy się ciemną nocą w wyższe jeszcze regiony gór Tatrzańskich, do celu naszej podróży, Zakopanego.

Jadąc pocztą do Nowego Targu przy świetle dziennem, nasycało się oko nasze imponującemi, tu i ówdzie wysterczającemi nagiemi skałami, stokami i wyniosłościami, pokrytemi ciemnym szpilkowym lasem, przetykanym białemi przestrzeniami polan i hal, na których leżą śniegi. Umysł nasz zajęty był wrażeniami zewnętrznemi, a gdy ciemna noc w budce górala oku naszemu podziwianie tych cudów natury uniemożliwiła, zapadliśmy obaj w zadumę i po długich marzeniach i rozmyślaniach, w jaki sposób spotkanie się nasze z niedźwiedziem miejsce mieć może, przemówiliśmy, wynurzając sobie wzajem treść naszych rozmysłów. Pan K. twierdził, że życzyłby sobie przynajmniej do niedźwiedzia strzelać, ja niekontentowałem się strzałem tylko, ale chciałem, abym go też i ubił; debatując dalej, opuszczaliśmy z naszych życzeń i zgodziliśmy się w końcu na to, że szczęśliwymi bylibyśmy, gdyby rzeczywiście jeszcze jutro niedźwiedź w lasach Zakopanego mógł być obciętym, a nie wyniósł się przypadkowo do Węgier, gdybyśmy biorąc miot, niedźwiedzia przynajmniej zdala widzieli i tej miłej, albo też niemiłej każdemu myśliwemu emocyi doznali, jaką się uczuwa, polując poraz pierwszy w życiu na tego u nas tak rzadkiego zwierza.

Po wielkich trudach dla podróżujących, wyrywanych od czasu do czasu z zadumy uderzeniem obręcza budki góralskiej w głowę, po większych jeszcze trudach konika, ciągnącego trzy osoby i kilka strzelb, po twardej, górzystej, błotnistej drodze, stanęliśmy w końcu o godzinie 11. w nocy u p. M. w Zakopanem. Po ciepłym posiłku, uprzejmie przez gospodarstwo podanym, spało się krótko ale dobrze, a o 5tej rano wstawszy, udaliśmy się do rewiru „Bukowina“, gdzie w dwóch miejscach możliwe było, według przypuszczeń, otropienie gościa z Węgier.

Po długiej podróży wozem, a $1^1/_2$-godzinnej pieszej, w śniegu wyżej kostek, drodze, ujrzeliśmy leśnego, dążącego do nas z wiadomością, iż niedźwiedź w dziale „Zazadnie“, części „Gęsia szyja“ jest obcięty. Koło niedalekiej koliby oczekiwali nas miejscowy leśniczy p. O. z kilkunastu dzielnymi góralami, częścią zostającymi w służbie w dobrach tutejszych, a częścią strzelcami tatrzańskimi, którzy z powodu ustawy, chroniącej kozice i świstaki, do troskliwszego uprawiania niewdzięcznej tutejszej gleby zmuszeni, korzystają z każdej nadarzającej się sposobności, aby mogli swoją, najrozmaitszego kalibru i wyrobu broń, jedno- i dwururkową, w życie wprowadzić i celnym strzałem z tej nie wiele obiecującej broni dowieść swojej dzielności.

Po krótkiej konferencyi uradzono zająć miot około 200-morgowy, w którym obległ niedźwiedź i pędzić go ku górze do hal, poniżej góry Wołoszyn. Rozstawiono myśliwych prawie pod kątem prostym, obstawiając stanowiska najlepsze pięciu myśliwymi z inteligencyi, po skrzydłach zaś 16tu góralami, uzbrojonymi w ich własne dubeltówki i pojedynki kapzlowe, ponabijane kulami, półkulkami, lotkami i siekańcami różnego gatunku i w nieodstępne ich towarzyszki ciupagi (toporki).

Rewirowy leśniczy p. O., rozdawszy nam stanowiska, obszedł miot cały i udawszy się do nagonki, złożonej z 4, tylko w ciupagi uzbrojonych górali, zadął w trąbkę, co było sygnałem, iż gon rozpoczęto. Jakże długiemi zdawały się chwile, nim pozostawieni na naszych, tutejszym

językiem zwanych „zasiadkach“, doczekaliśmy się tego pożądanego sygnału. Zsuwająca się tu i ówdzie okiść śnieżna ze świerków, poruszanych raptownymi powiewami w różnych kierunkach rzucającego się wiatru, niepokoiła swym szelestem myśliwego. Przepocone suknie przy wspinaniu się na stromy szczyt, po chwili zmrożone zimnym wiatrem, przenikały chłodem aż do kości, a tu chęć spotkania się ze zwierzem nakazywała jak najspokojniejsze zachowanie się na stanowiskach. Sąsiad mój p. K. stał odemnie o jakich 50 kroków może, odległość między nami przepołowioną była kilku na sobie piętrzącymi się wywrotami tak, iż ze stanowisk pomimo małej odległości widzieć się nie mogliśmy. Z drugiej strony obok p. K. stał o jakich kroków 20 leśny tamtejszy Dziadoń, znany i sławny z wycieczek na kozice po stronie węgierskiej. Były to najlepsze stanowiska; wszyscy trzej staliśmy na bardzo stromym stoku, w gęstym świerkowym, rębnym drzewostanie.

Wkrótce po rozpoczęciu gonu usłyszeliśmy krzyk leśnego idącego w tropy, przed którym o jakich kroków 50 z pomiędzy kilku leżących obok siebie wywrotów wysunął się niedźwiedź, a ponieważ „miał manierę na zachód słońca“ (wyrażenie leśnego), a strona ta słabo była obsadzoną, więc nawoływania były skierowane do prawego skrzydła nagonki, aby ta szybszem posunięciem się naprzód przeszkodziła wymknięciu się zwierza z miotu, z pominięciem strzelców. W zupełności też osiągnięto ten cel, bo niedźwiedź zwrócił się ku górze, lecz niestety pominął podpisanego i wyszedł na sztych na leśnego Dziadonia na kroków 10, a ten przyklęknąwszy, celnym strzałem, złożonym z kuli i 2 lotek, ugodził zwierza w samą pierś. Po wystrzale usłyszałem głos niedźwiedzia, objawiający niezadowolenie z takiego spotkania i krzyk Dziadonia: „scyloć! scyloć!“ Posłuszny temu wezwaniu p. K. poskoczył ze swego stanowiska i dążył wraz z leśnym za zwracającym w miot zwierzem, przed którym góral z nagonki umykając, zgubił swój wytłuszczony kapelusz i wciąż wrzeszcząc wzywał pomocy p. leśniczego O., uzbrojonego w strzelbę. Dobiegł p. K. na jakie 30 kroków do prześladowanego zwierza, który słysząc ludzi za sobą, w tył się zwrócił; wtedy strzelił p. K., mierząc w łeb, poczem nowy nastąpił objaw niezadowolenia i jakieś ciekawe ruchy łapą obok głowy. Po tym strzale niedźwiedź spuścił się do przyległego głębokiego potoku, gdzie przez p. K. dwa razy strzelany, w końcu legł, a po kilku jeszcze dźwignięciach głową, pokazaniu zbiegającym się myśliwym zębów i ostatnich konwulsyjnych podrygach łap, skończył na niegościnnej ziemi Tatrzańskiej. Zniesiono niedźwiedzicę, gdyż to była ona, do pobliskiej „bacówki“ (baca wyrabia bruski i oszczepki, ser owczy w formie okrągłej i podłużnej), a przy oblewaniu trupa i farbowaniu p. K. sprawdzono, iż strzał pierwszy kulą ugodził w pierś koło lewej łopatki, przebiwszy serce i wnętrzności, wyszedł miękiszem koło zadniej prawej łapy; drugi strzał z porządku, a pierwszy p. K., trafił niedźwiedzicę w prawy policzek, w połowie oddalenia między nozdrzem i okiem, a przeciąwszy skórę spełznął po pod prawe oko, nie złamawszy kości (kula okrągła z Teschnerówki numer 1., lufa prosto ciągnięta), z tego więc powodu niedźwiedzica łapą robiła wyżej wzmiankowane niezwyczajne ruchy koło głowy, kontuzyowana jednak silnie umykała dalej. Następnie dwa strzały pana K. znaleziono w karku tuż za czaszką.

Po chwilowym wypoczynku udaliśmy się pieszo do leśniczówki rewiru Bukowina, zkąd ciemną już nocą małym wózeczkiem jednokonnym, po okropnej drodze w cztferech na zabitej niedźwiedzicy z powrotem do Zakopanego dążąc, w osadzie „Małe Ciche“ przez tamtejszych mieszkańców, z latarniami z pobliskich stoków zbiegającymi, kilka razy wstrzymywani byliśmy. Ciekawi byli oglądnąć niedźwiedzia, w historyi tejże osady odgrywającego pewną rolę, gdyż przed 10 dniami ubił jałówkę jednemu z tamtejszych chłopów. Wreszcie błogosławieni i obsypywani objawami wdzięczności, z wioski tej odjechaliśmy.

U pana M. w Zakopanem dowiedzieliśmy się, iż niedźwiedzica dziś upolowana już dzień przedtem w sąsiadującym rewirze „Poronin“ w sześćmorgowym kawałku przez 27 strzelców osaczona była, jednak leśni Zakopańscy przez zawiść i spodziewając się naszego przybycia na dzień jutrzejszy, przedwcześnie niedźwiedzicę z legowiska wyruszyli i do swojego lasu przegnali. Nie było to zbyt po sąsiedzku, ale ileż razy nawet inteligentni myśliwi z zazdrości i chęci strzału podobnych forteli używają!

Zaraz w nocy zdążałem z panem K., któremu powodzenia spotkania się z niedźwiedzicą szalenie zazdrościłem, z powrotem do swoich obowiązków, a chociaż sam nie miałem szczęścia przyjść do strzału, cieszę się miłą obiecanką, że skoro tylko świeży niedźwiedź do dóbr Zakopane zawita, będę na niego proszony, a może choć tym razem Sylwanka będzie dla mnie przychylniejszą.

Czytelnicy, którzy z niedźwiedziem już się potykali i o wrażeniach pierwszego spotkania zapomnieli, zdziwią się może, że tak szeroko się o tem rozpisałem, ci jednak, którzy dotąd tak jak ja nie mieli sposobności polować na niedźwiedzia, odczują łatwiej to wzniosłe wrażenie, a sądzę, że jedni i drudzy wybaczą moje gadulstwo.

Nawojowa dnia 22. Października 1887.

Karol Gostyński.



O chowie kuropatw i polowaniu na nie w Czechach.

Kuropatwa jest tak powszechnie znaną, że opisywać jej szczegółowo nie będziemy tembardziej, że głównie zamierzamy mówić o chowie jej i polowaniu, jak one się praktykują w Czechach.

Wszelkie starania i doświadczenia sztucznego chowu kuropatw okazały się niemożliwemi, ptak ten tylko w stanie natury i na wolności rozpleniać się może. Nawet wybieranie jaj i podkładanie pod małe kury okazało się niepraktycznem z tego powodu, że wylęgnięte kuropatewki, bez właściwej i naturalnej im paszy w robaczkach i zieleni, wychować się w domu nie dały i w bardzo krótkim czasie, pomimo najtroskliwszego starania i opieki, wymierały. O sztucznym więc chowie kuropatw we właściwem tego słowa znaczeniu mowy być nie może, a tylko naturze dopomagać możemy i powinniśmy.

Niezwykłą mnogość kuropatw w Czechach przypisać trzeba tej okoliczności, że zniszczenie gniazda albo też jaj kuropatwich należy do nieznanych wydarzeń. Wychowanie

dzieci w szkółkach wiejskich już tak dalekie owoce z tej strony przyniosło, iż od kilkunastu lat nie było przykładu, aby nawet najrozpustniejszy chłopiec wiejski pomyślał o wyjęciu jaj z gniazda albo też w jakikolwiek inny sposób przeszkadzał wychowaniu i życiu kuropatw. Na własne oczy widziałem na łąkach chłopskich pozostawione miejsca na sążeń średnicy nie wykoszone, w których się gniazda kuropatwie znajdowały. A jednak wieśniak ten ani prawa polowania ani też innego użytku z kuropatwy nie ma, oprócz tego chyba, że cała gmina wydzierżawiwszy polowanie na swoich gruntach za kilka set złotych reńskich, wspólne ciężary z tej sumy pokrywa.

W większych nadto posiadłościach, gdzie zwierzyna zostaje pod nadzorem leśniczych, w każdym rewirze jeden z adjunktów, wyłącznie zajęty jest zwierzyną i przez cały czas jej rozmnażania znajduje się na polu, strzelając każdego psa lub kota, któryby się na polu ukazał. Jastrzębi, a szczególniej lisów rzadko bardzo kiedy zobaczyć można, tak samo i wron, a bocianom w czasie ich przelotu na wiosnę nawet na polach odpocząć nie pozwalają, wszelkimi sposobami płosząc je lub zabijając nawet. Bocian bowiem jest rzeczywiście największym szkodnikiem w gospodarstwie myśliwskiem, a pod innym względem w Czechach jest zupełnie niepotrzebnym, bo płazy ziemne, którymi u nas naprzykład żyje i przyczynia się do ich wytępienia, tam w skutek wysokiej kultury ziemi i zupełnego prawie osuszenia moczarów, nie istnieją.

Kuropatwy przez cały przeciąg wychowania młodych, w żaden sposób nie powinne być płoszone, a i samo polowanie potem, kiedy się już zupełnie wybarwią czyli wypierzą, odbywać się winno tylko na granicach rewiru i to w ten sposób, że całe stado odrazu się wystrzeliwa. Doświadczenie bowiem okazało, że kuropatwy pozostałe pojedynczo, rzadko kiedy przez inne stada przyjmowane bywają i najczęściej giną. I ta okoliczność wskazała jeszcze takie postępowanie użytecznem, że pozostawione na przezimowanie kuropatwy w środku rewiru całemi stadami najlepiej się ogrzewają, zakopują pod śniegiem, a tem samem pożywienie łatwiej znajdują. W twardej także jesieni wyłapują się całemi stadami w tak zwane siecie pajęczyny, o których dalej mówić będziemy, i w osobnych na to przyrządzonych domkach przez zimę przechowują, bacząc jednak na to, aby im tyle tylko pożywienia podawać, iżby wyżyć mogły, w przeciwnym bowiem razie tyją i do rozpłodu już są niezdatne. Domki takie są w następujący sposób urządzane: zwyczajna czworograniasta chałupka bez okien, tak wielka, aby na każdą parę zamkniętych kuropatw 1 stopa kwadratowa powierzchni przypadała, pokryta jest słomianym dachem, pod którym w miejsce pułapu rozciągnięta gęsta siatka szczelnie do ścian przytykająca. Sieć ta dla tego jest zamiast pułapu urządzona, ażeby w jakikolwiek sposób spłoszone kuropatwy podlatując do góry łebków sobie o deski nie obijały, i nie kaleczyły się. Ściany boczne powinne być w tym samym celu słomianemi matami obite.

Od strony zachodowej w domku znajdują się dwie ściany, w zewnętrznej głównemi drzwiami wnosi gajowy pożywienie dla kuropatw przeznaczone i stawia na bokach oddzielonej przestrzeni pomiędzy ścianami, zamyka potem za sobą pierwsze drzwi i otwiera drugie z gęstej siatki zrobione. Jeżeli się znajdzie jaka zabita lub skaleczona kuropatwa, wyjmuje ją ostrożnie, następnie naokoło wszystkich ścian rozsypuje pożywienie, z prochów odsiewnych i poślednie pszenicy złożone, (licząc $1/2$ kwaterki na parę kuropatw dziennie). Nakarmiwszy zamyka ostrożnie siatkowe drzwi, a następnie pierwsze wchodowe.

Kiedy się już kończą silne mrozy, a szczególniej gołoledzie, nadchodzi czas wypuszczania kuropatw na wolność. Odbywa się to w następujący sposób: W ścianie przeciwnej od drzwi domku znajduje się rura drewniana zasuwą zamykana przy samej ścianie domku. Do końca tej rury przystawia się kosz mogący około 10 par mieścić i ostrożnie uderza w przeciwną ścianę kijem. Kuropatwy spłoszone wpadają do kosza, poczem ta klapa od rury jakoteż ściana koszyka zasuwa się i kuropatwy wynoszą w rozmaite miejsca rewirów średnich i wypuszczają na wolność. Czynność ta powinna się zawsze w nocy odbywać, aby wypuszczone kuropatwy daleko nie odlatywały a zaraz zapadały, gdzie już cały rok pozostają.

Na wolności pozostawione na zimę kuropatwy, oprócz remiz, znajdują jeszcze schronienie i pożywienie w osobno w tym celu ustawionych budach z gałęzi świerkowych. Pamiętać tylko należy, aby budy te były stawiane na oziminach i po każdej zawiei śnieg naokoło był odszuflowanym tak, iżby kuropatwy z łatwością do kiełków zbożowych dogrzebać się mogły. W budach tych od czasu do czasu podsypuje się potrosze pośladu pszennego, prosa i t. p., rozumie się tylko w czasie najsilniejszych mrozów i śnieżnych zamieci.

Za nadejściem cieplejszej pory po stopieniu śniegu i oschnięciu ziemi, kuropatwy ze stad rozbijają się w pary, pozostając razem aż do wylęgnięcia młodych i temi opiekują się aż do wiosny. Czy te same pary na dłuższy czas żyją w wierności małżeńskiej, nie jest wiadome i zdaje się, że tak rzeczywiście nie jest, a to głównie z tego powodu, że jedno z nich zwykle w czasie polowania ginie.

Przechodzimy teraz do samego polowania i sposobu sprzedaży ubitej zwierzyny.

Skoro kuropatwy już się zupełnie wypierzą i wyrosną, zaczyna się polowanie z wyżłem, ale tylko na granicach rewiru i to na obstalunki. Polowanie z wyżłem dobrze jest wszystkim znane, dla tego też dłużej się nad nim zatrzymywać nie będziemy, przypominając tylko to, cośmy wyżej powiedzieli, że dobry myśliwy powinien się starać całe stado naraz wystrzelać, naprzód starki, a następnie czekając z kwadrans czasu, zwabić znowu młódki za pomocą naparstkowego wabika w jedną gromadkę, drugi bowiem raz rozbite młódki tracą przytomność i wtenczas za pomocą wyżła jedna za drugą z największą łatwością wystrzelać się dają.

Zbyt kuropatw w tym czasie w Czechach jest nader łatwy, a to z powodu uroczystości wiejskich, zwanych „posviceni“, rodzaj odpustu połączonego z dożynkami. Te jedyne święta w Czechach ze zbytkiem podobnym do naszych świąt Wielkanocnych obchodzone, trwają przez trzy dni, w którym to czasie na stole każdego prawie chłopka kuropatwy i zające znajdować się muszą, przynajmniej ten raz w rok. Ztąd też przysłowie podobne do naszego: „raz w rok około Wielkiejnocy“. Czesi z tem świętem łączą „aspon po jedno na posviceni“.

Skoro już z nadejściem jesieni temperatura o tyle się oziębi, że kuropatwy bez obawy zepsucia się, dalej przesyłać można, zaczynają się ogólne polowania na wywóz do Wiednia, Berlina i t. d. Polowania te z wyżłem zawsze

jeszcze po granicach, aby głównych stad w środku nie ruszać, odbywają się dwojakim sposobem, albo w siecie zwane „płotkami“ lub w sieci „pajęczyny“.

Sieć płotki jest to długi worek wyprężony kabłąkami prętowymi, zwężający się ku końcowi; na przodzie od dwóch boków sieci rozchodzą się dwa skrzydła, długie po 10 łokci i sieci 1½ stopy wysokiej, na palikach przymocowanej i za pomocą tyczek w ziemię wetkniętych stanowią jakby płotki po obu stronach głównej matni. Boki te powinny się pod ostrym kątem zbiegać ku matni, aby uciekające kuropatwy coraz więcej skupiały się i ostatecznie wszystkie razem wpadły do matni, zkąd już wyjść nie mogą, bo zestraszone poplątają się w sieci.

Skoro więc kuropatwy wyżeł wynajdzie, a zresztą i sami adjunkci, o każdem stadzie dobrze wiedzący, z jednej strony rżyska krzaczków lub kartofli ustawia się cichutko płotki, a z drugiej strony, potem, bardzo powoli, rozstawiwszy się w kilku myśliwych w linii, kuropatwy do sieci napędzają. Najczęściej wpada całe stado w sieć i albo żywcem do klatek, albo też pozabijane przez zgniecenie czaszki, zabierają. Gdyby się jednak przedtem spłoszyły, to pewnymi strzałami zabija się kilka lub kilkanaście, a resztę potem stada, w kilka dni po ukończeniu polowania płotkami, albo się wystrzela albo też w inny sposób wyłapuje.

Gdy już pola zupełnie są ogołocone z rżysk, kartoflisk i tym podobnych ochron, a kuropatwy już dotrzymywać nie chcą, zaczyna się polowanie z siecią „pajęczyną“. Sieć ta długa na 50 łokci a szeroka na 10, rozwiesza się na wysokich tykach tak, aby dolna jej część 3 stopy ponad ziemią zaginała się równolegle w dosyć szerokie jakby koryto, w któreby kuropatwy, uderzywszy o wierzchnią część sieci, wpadały i ztąd zaplątane wyjęte być mogły. Oka tej sieci powinny być dwucalowe w kwadrat z grubych nici konopnych zrobione. Łowienie to poczyna się przed samym zachodem słońca wtenczas, kiedy najmniejszego wiatru nie ma. Myśliwi zdaleka w linii rozstawieni naganiają bardzo powoli kuropatwy, które bardzo nisko ciągnąc wieczorem, całemi stadami w siecie wpadają. Rozumie się, że przy tego rodzaju polowaniu potrzeba wiele doświadczenia, cierpliwości, a szczególnie znajomości rewiru, aby sieć w tych miejscach ustawiać, któremi kuropatwy najwięcej wieczorem na noclegi przeciągają. Tak złapane kuropatwy także po większej części z powodu skaleczeń i t. d. na wywóz się przeznacza. Kiedy już śniegi zapadną i kuropatwy ani pierwszym ani drugim sposobem nie dają się łapać, a na silną zimę się zanosi, czas pomyśleć o łapaniu kuropatw na rozpłodek do zamknięcia w chałupkach.

Łowienie to na śniegu odbywa się za pomocą sieci tak zwanej „szatrowej“. Sieć ta naciągnięta na sążeń średnicy mającej obręczy, ustawia się prostopadle przy jakim krzaku lub kupie słomy, naumyślnie poprzednio urządzonej, tak ustawionej, aby w odległości kilkudziesięciu kroków zaczajony myśliwy mógł za pociągnięciem sznurka nakryć na zatrzasku ustawioną siecią żerujące kuropatwy.

Zanim się jednak sieć ustawi, powinny być te miejsca przez kilka dni posypywane jakąkolwiek ponętą, aby się kuropatwy przyzwyczaiły. Dopiero po ponowie, kiedy powierzchnia ziemi zupełnie świeżo pokryta jest śniegiem, ustawiają się „szatry“ i kuropatwy wyłapują. Sposób ten jest bardzo łatwy i pewny tem bardziej, że kuropatwy w śnieg wgniecione nie mogąc się trzepotać, nie kaleczą się, a tem samem do przezimowania są najsposobniejsze.

Oprócz wyżej opisanych sposobów używali Czesi dawniej sieci „rozjazdem“ nazwanych. Sieci te w kraju naszym dobrze znane i używane szczególnie na przepiórki i dubelty, dla tego też bliżej ich opisywać nie będziemy.

O rozmaitych gatunkach sideł z włosienia i t. p., także nie piszemy dla tego, że w Czechach w ogóle są prawem leśnem i policyjnem zakazane, a u nas na nieszczęście przez wiejskich pastuszków i dworskich urwiszów bardzo dobrze znane.

Kończąc tych parę słów o kuropatwie, wspomnimy jeszcze i o tem, że w racyonalnych gospodarstwach leśnych w Czechach, liczą jedną parę rozpłodową na każde 20 morgów gruntu, jeżeli szkody w gospodarstwie polnem nie mają przynieść. Cena kuropatw w Sierpniu i Wrześniu nie przenosi 25 centów, późniejsze zaś po 1 zł. para, a w karnawale nawet do 2 zł. w cenie dochodzą.

J. Stewich.

Geografia łowiecka.

Broń myśliwska i sposoby polowania

przez

Dra J. FOICHTINGERA.

(Ciąg dalszy).

W czasach późniejszych, aż do końca przeszłego stulecia, głośną była *aqua tofana*, czyli woda Styxu. Według zdania jednych był to preparat arszenikowy, według drugich wyrabiano ją z soku maku i kantaryd, niektórzy nawet zaciekali się tak daleko, iż uważali ślinę na śmierć załechtanych ludzi jako toxykologiczne arcanum tego zjawiska. W jednej książce: *L'espion dévalisé, feliciter audax Londres 1782.* znajduje się podanie, że wyrabia się w Neapolu z mięszaniny opium i kantaryd nieomylną i powolnie zabijającą truciznę, która ma nazwę: *aqua di Tufania, eau de Toufaine.* Ma ona być jasną i bezbarwną, bez woni i smaku, kilka jej kropel wpuszczonych do zupy, kawy lub herbaty, wystarczają do wytworzenia jakiejś ukrytej niedyspozycyi, której prawdziwej przyczyny żaden lekarz nie odgadnie. Jad rozsyłano w małych, szklannych flaszeczkach z napisem: manna św. Mikołaja Bari z wizerunkiem tego świętego. Bezmyślny zabobon kazał z grobu jego wysączać się cudotworczemu olejkowi, rozsyłanemu

pod tem imieniem. Pewna kobieta w Neapolu, zwana Toffania, uchodziła jako najzręczniejsza wyrobnica tej trucizny, którą dumne polityczne plany pewnego dobrze znanego zakonu czasem bardzo wyraźnie protegowały. Zgodnie jednak z prawdą należy przyznać, że wszelkie zeznania wymuszono z niej przez tortury i że one przeto nie dają wiarogodnego dla kultury dziejowej świadectwa. Nieszczęsną uduszono, a trupa jej rzucono na podwórze klasztoru, do którego uciekła i z którego przemocą ją wywleczono. Także pewien niemiecki chemik Glaser, podejrzywany o udział w wyrabianiu trucizny, więziony był przez lat kilka. Murzyni amerykańscy mają również posiadać tajemnicę przyrządzania trucizny powolnie zabijającej, w której prawdopodobnie solanina kartofli i nikotyna tytoniu główną grają rolę.

Dalsze dochodzenia tej równie zajmującej, jak nierozjaśnionej i straszliwej dziedziny, zwichnęłoby cel tej myśliwstwu poświęconej rozprawy. Uważaliśmy jednak za rzecz konieczną, powyższe wiadomości czytelnikowi przedłożyć, ponieważ z nich na jaw wychodzi, że używanie trucizn do celu jawnego czy tajemniczego morderstwa, jest rzeczą dawną i daleko rozszerzoną. W wszelkich jednak tego rodzaju wypadkach odbija się głęboko i wewnętrzny zarys ludzkiej natury, czy to jej jasnej lub ciemnej strony dotyczący. Indyjski czerwonoskóry, czatujący poza pniem drzewa z swoją zatrutą strzałą na zwierzynę, biały europejczyk, sączący po kropli straszliwy lulek do pokarmu swego przeciwnika, któryż z nich właściwie zasługuje na miano dzikiego? Zaprawdę nauczającem jest doświadczenie, że to, co potępiamy jako potworny wytwor kultury pewnego czasu albo jakiego odrębnego narodu, przy bliższem rozpatrzeniu uznać musimy jako wspólne dobro lub złe. Wymownym dowodem tego są walki kogutów i przepiórek, rodzaj sportu, który uważano oddawna jako właściwy tylko Anglii, i obok którego nic podobnego postawić nie można. A jednak nadmienia najdawniejsza wzmianka o angielskich walkach kogutów: *A survay of London written in the yeare 1598. by John Stow with an appendix containing Libellum de situ et nobilitale Londini written by William Fitzstephen Londini 1599.*, że kongres kościelny z r. 1260. zakazał Francuzom ulubionej walki kogutów. W Anglii i we Francyi było wówczas powszechnym zwyczajem, że uczniowie w zapusty przynosili swoim nauczycielom koguty, które nazajutrz w oczach widzów wyprawiały krwawe igrzyska. Rozróżniano *Battle Royal*, przy którym pewna liczba kogutów do walki wprowadzaną, i nagroda pozostałemu zwycięscy przyznawaną bywała, i *the Welsh-main* czyli walka pojedyńczych par. Według opowiadania Aeliana urządził Temistokles, po bitwie pod Maratonem, w Atenach publiczne walki kogucie, aby żywym przykładem istot, poświęcających swe życie dla żądzy walki, podnieść męstwo obywateli kraju, którzy zarazem stawali do walki w obronie wolności, ojczyzny i rodzin swoich. Na monetach i rzeźbionych kamieniach greckich antyków często wyobrażone są walki kogucie, a w Pergamie, owem siedlisku wszelkich zbrodni, tworzyły walki kogucie nagrodę dla ukochanych chłopców. Z wielkim kosztem sprowadzano zagraniczne koguty, dawano im podniecające pokarmy, a walki kogucie i przepiórcze były tak jak walki gladiatorów także w Rzymie ulubionemi igrzyskami ludowemi. Jeszcze cesarz Augustus rozkazał ukarać pewnego obywatela, który zawsze zwycięskiego przepióra za drogie pieniądze kupił i spożył go. A Herodias opowiada, że zawsze poważnieni z sobą synowie Septymiusza Sewera również przy walkach przepiórczych i kogucich z sobą się spierali. Nigdy człowiek zwierząt nie ochraniał, przeciwnie wymyślał najbardziej wyrafinowane okrucieństwa, aby większy z nich pożytek wyciągnąć. Jakżeż małe ma znaczenie okrzyczana zgroza polowania *par force* wobec tuczenia zwierząt w ciemnych i ciasnych miejscowościach. Wnet dostrzeżono na Wschodzie, że rzezańcy stają się niezwykle mięsistymi i tłustymi, więc przeniesienie tego pożytku na zwierzęta rzuciło się w oczy bezwzględnego i bystrego umysłu człowieka. Mieszkańcy Delos, wyspy nieurodzajnej i skalistej, byli według podania Pliniusza mistrzami starożytnych w szlachetnej sztuce „kapłonienia“ i w istocie osięgnęli tem delikatne i smaczne mięso. Rzymianie pochwycili tę myśl, a ich hodowcy na mięso kur *(Deliac)*, stanowili osobny cech, który wszakże był z początku przez demokratycznych trybunów ludu w rozmaity sposób w swych czynnościach powstrzymywany i prawnie ograniczany. Ludzie ci posiadali wielką zręczność w wycinaniu jąder, umieli jednem cięciem i następnem ujęciem głęboko w jamie brzusznej ptaków, przy samych nerkach, leżący organ schwycić i oddzielić go. Tak więc zawdzięczamy właściwie eunuchowi Wschodu kulinarny przysmaczek, zaprawdę cenny, ale okrutny owoc pożądliwości, która nie mniej bogatą jest w wynalazki dotyczące męczenia swych ofiar, jak najzręczniejszy mistrz tortur średnich wieków. Arcy miła metoda Greków zamykania niewiast podczas ich podróży i opieczętowania izb, nie wystarczała już zazdrośnym małżonkom we Francyi za Henryka II. Pojawia się słynny wyrób sztuki ślusarskiej: *cadenat des jaloux*, który każdemu niepowołanemu przystęp do świątyni Wenery najzupełniej miał zamknąć. Kupcy galanteryjni Wenecyi sprzedawali te sztucznie zbudowane zamki tuzinami zazdrośnym małżonkom Francyi, a uprzejmie też utrapionym damom wtóre klucze do ich odmykania. Handel to był w istocie bardzo chwalebny ze względu na zaspokojenie, jakiego dostarczał obu stronom.

Przenieśmy się w duchu ze strefy równikowej tropikalnej Ameryki na przestrzenie lodowe arktycznych stref. I tu spostrzegamy, że zewnętrzne otoczenie człowieka dostarcza mu zbroi i sposobów łowieckich

Eskimos skazany jest głównie na połów zwierząt morskich, a jedyna foka wystarcza do zaspokojenia wszystkich jego potrzeb. Pożywienie, odzież, narzędzia, łowieckie i wojenne zbroje, wszystkiego dostarcza foka. Jej skóra naprzemian z reniferową, z futrem białego nidźwiedzia i skórami ptaków, służy mu za odzież. Z wnętrzności foki sporządzają niewiasty nieprzenikalne ubranie, tak zwane „kamlejki“, które im wyborne przynosi usługi w ważnych dla nich wycieczkach na wody. W swojej ze skóry zwierzęcej sporządzonej „bajdarze“ lub „kajaku“ przecina on bez trwogi, nawet w czasie najburzliwszego powietrza, fale morskie i ciska strzałę łukową z wielką pewnością ku mieszkańcom ich, nawet ku wielorybowi. Tran foki utrzymuje światło lampy w jego chacie ziemnej lub śniegowej, a z tym mdłym płomieniem związana jest cała jego exystencya podczas straszliwych nocy polarnych w zimie. Na swych, z kości konia morskiego zbudowanych i przez wierne psy ciągnionych saniach, rusza on za swą zdobyczą łowiecką w szalonym pędzie po śniegowych i lodowych przestrzeniach i spożywa ją prawie lub zupełnie surową. Lampa wyrobiona z kości konia morskiego służy mu do

oświecenia, ogrzania i gotowania. Gdy zabraknie tranu lub tłuszczu dla niej, to zguba, z małymi wyjątkami, całej rodziny jest nieunikniona. Broń wyrobiona jest z drzewa, kości, kamieni i muszel, czasem tylko z dodatkiem miedzi lub żelaza, których dostarczają im handlarze futer. Eskimosi Grenlandyi przejęli wcześnie od Duńczyków broń palną, a obecnie uzbroili się nią wszyscy przez rosyjskich handlarzów. Spisy łowieckie Eskimosów wyobrażane bywają jako w swoim rodzaju bardzo użyteczna broń. Oprawa składa się rzadko kiedy z drzewa, nader rzadkiego w tych okolicach i dostępnego tylko jeszcze dla najbardziej południowych mieszkańców. Wyrobioną jest z kości konia morskiego, niedźwiedzia, zęborożca i wieloryba bardzo sztucznie, a pojedyńcze części składowe połączone za pomocą fiszbinu i ścięgien zwierzęcych. Najlepsze oprawy sporządzone są z rogu zęborożca z jednego kawałka. Spojenie pojedyńczych składowych części spisy łowieckiej jest tak ścisłe, że nawet uderzenie największych zwierząt, jak białych niedźwiedzi, nie zdoła go nadwerężyć. Łuk też niemniej odpowiada swemu celowi. Opatrzony jest linewką „*allek*“ ze skóry psa morskiego, a Kane opowiada, że północni Grenlandczycy z tego łuku nawet ptaki w locie zabijają. Niezbędnym środkiem pomocniczym w łowach wodnych dla Eskimosa są jego harpuny i łatwo zrozumieć można, że na ich budowę wiele starań łoży. Są one rozmaitej wielkości w miarę rodzaju zwierza, na jakiego bywają używane. Grot zrobiony, tak jak w spisach łowieckich, z kości niedźwiedziej, wieloryba lub zęborożca. Po wyrzuceniu pocisku oddziela się z oprawy i pozostaje w mięsie. Oprawa płynie z prądem wody i bardzo starannie bywa przez myśliwych zbieraną. Ostrze harpuny połączone jest z linewką, u której jednego końca przytwierdzony pęcherz, płynący na powierzchni wody i wskazujący kierunek poruszeń zwierzęcia.

Nie mniej, jak mongolskiego pochodzenia Eskimosi wykazują również Indianie okolic polarnych związek rodzaju polowania z przyrodą tej strefy, w której łowy się odbywają. Także Indianom Ameryki arktycznej dostarcza pies morski „*foka*“ niemal wszystkich przedmiotów, jakich potrzebuje. Wyrzynają z jego skóry pasy do swych czółen, sieci, rzemienie, lasso i podeszwy. Czółna ich są zupełnie takie jak Grenlandczyków i często przepływają oni w nich cieśninę Beringa, rozdzielającą Azyę od Ameryki. Budowa tych czółen łowieckich jest zadziwiającą. Są lekkie a przytem silne, obciągnięte skórami, pozbawionemi włosa, a szwy w skutek zapuszczenia tłuszczem są nieprzemakalne. Obielenie odbywa się smarowaniem rozkładającej się ikry, przezco włos gnije i odpada. Następnie wyciągają się skóry w ramach i powlekają moczem, czem się stają przejrzystemi. Tłuszcz oddziela się skrobaniem kośćiami lub nożami kamiennymi. Gdy Indianin zamierza wyruszyć takiem czółnem, zaopatruje je wszystkiem, czego może potrzebować i uzbraja. Jego w ziemi ukryty dom, którego dach tylko na zewnątrz sterczy, a do którego przystęp jest zatarasowany, nie pozbawiony wcale wszelkiego komfortu. Na jednej stronie jego stoi na palach mała budka z pniem służącym za drabinę. Ukrywa w sobie zapasy i chroni je zarazem od psów i dzikich zwierząt, które nieustannie wyjąc osadę okrążają. W jej wnętrzu złożone zapasy mięsa i tłuszczu reniferowego, z których drugi uważany jest za przysmaczek, a podanie jego gościowi jest oznaką najwyższego szacunku. Indianin jest znakomitym zastawiaczem sideł na zające i kury, jakoteż na ich śmiertelnego wroga kunę. Gromadzi on wielkie zapasy malin i czernic, które w tłuszczu foki wygotowuje i jako przysmaczek spożywa.

Tak więc rozkosz w używaniu i popęd do dobrego bytu spotyka się nawet w lodowych puszczach arktycznej Ameryki u ludzi, których mieszkalne siedziby przepełnione brudem i dymem, do których ogniska, uchodzącego przez otwór w chacie, wpadają psy, znęcone wyziewem zgniłych ryb, starych futer i spalonego włosa. Wszelkie pożywienie mięsne przyrządzają Indianie na wzór prawdziwych myśliwych pieczeniem u ogniska, szczególnie łososie umieją tym sposobem zamienić w wyborną potrawę. Czółno mieści w sobie prócz wszelkich przyborów myśliwskich i zapasów pożywienia, zawsze także sporą ilość tytoniu, który bardzo lubią. Nie tylko go palą ale także obrzydliwie zażywają w tabace. Wciągają udeptaniem liści otrzymany proszek za pomocą drewnianych rurek z tabakierek drewnianych lub kościanych do nosa i oblepiają nim wstrętnie górną wargę. Niezbędne usługi oddają Indianom okolic polarnych ich łyżwy śniegowe. Rozdzielają one wagę ciała na większą przestrzeń i nie dozwalają głębszego zanurzenia się nóg w śniegu. Z ich pomocą odbywają w późnej zimie wielkie polowania na jelenie śród zimna, przy którem skóra palców na dotkniętem żelazie pozostaje. Suszone jabłka i szynka muszą jak kamień siekierą być rozrąbywane, a pierwsze z nich mogłyby być wybornymi kartaczami. Gdy trzeba zakładać sidła, towarzyszy kobieta mężczyznie i strzeże założoną w lesie łapkę nieraz przez kilka dni z wielką wytrwałością. Nie tak łatwo gdziekolwiek mogłoby znaleść zastosowanie tak szerokie samołówek na wielkie zwierzęta, jak tu. Budują niezwykłe ogrodzenia, u których ścian bocznych stoją pale, a między nimi zwieszone sidła. Gdy zwierzęta usiłują z nich się wydobyć, motają się głowami w sidła, w których już pozostają. Inną właściwością tutejszych łowów jest strzelanie do przeciągającej zwierzyny z kopców śniegowych przedziurawionych.

Szczególnie ciekawemi są według Whympera, który przez dłuższy czas śród tych pokoleń przebywał, ich łowy wiosenne. Drużyna myśliwska nosi przytem drewniane okulary, aby się ochronić od oślepienia przez śnieg i rusza zuchwale na w części już łamiące się lody wielkich wód. Głównym przedmiotem łowów są wtedy, szczególnie w Kwietniu, powracające z południa gęsi. Ale niebezpieczeństwo dla myśliwego jest wielkie i nieraz całe partye w skutek niespodziewanego, zupełnego załamania lodu, zapadają w głębie wód. Pochód lodów na tych wodach jest zaprawdę straszliwym, a wody pędzą z niezmierną szybkością. Bryły lodu huczą i łamią się, piętrzą się do wysokości gór, a zderzenia się ich z sobą dają widok przerażający po grobowej ciszy długiej zimy. Z nadzwyczajną śmiałością wyruszają Indyanie na owe lody i napędzone góry drzewa. Potężne pnie przeciągają pod czółnem i podnoszą je nie raz po nad wodę. Bryły lodu i drzewa trzeba nieustannie odpychać i często tylko skóra $^1/_8$ cala grubości rozdziela zuchwałego żeglarza. Dziwnie poddająca się i elastyczna skóra jest o wiele pożyteczniejszą jak kora brzozowa, a nawet i cedrowa. Jak długo na rzekach lód idzie, nigdy myśliwi nie używają czółen z kory brzozowej, chyba w ostatecznej konieczności. Krucha kora brzozowa bywa zszywaną cieniutkimi jodłowymi korzonkami, a wszystko zalewa się smołą. Skoro dostrzegą rys w smole, wracają na brzeg, rozgrzewają smołę, której zawsze mają zapas, przewracają

czółno i zalewają na nowo. Prócz gsi, biją się na tych wyprawach myśliwskich także kaczki, czaple i bobry, których kielnie (ogony) stanowią najpożądańszy przysmaczek dla myśliwych i sidlarzy. Niezrównany jest zmysł czerwonoskórych łowców w zastósowaniu się do zmiennych warunków. Lubo prawdziwi smakosze, jeżeli się sposobność nadarzy, umieją w konieczności zadowolić się mięsem sowy lub myszy. W owych arktycznych miejscowościach upały stają się już z początkiem Maja nagle tak srogimi, iż wraz z jaskółkami pojawiają się moskity, ta główna plaga myśliwego, ciało podlega znużeniu, a znoszenie trudów jest prawie niepodobnem. Noc nie jest właściwie nocą, lecz raczej mgławem półświatłem, żar zachodu słońca nie opuszcza horyzontu i spływa z słońcem wschodzącem.

Psy Indyanów są wybornymi ich pomocnikami, przepływają najbystrzejsze prądy rzek, towarzyszą wzdłuż czółen, wypłaszają z lasów wszystko co łowne, głównie łosie i reny, które w owej porze u brzegów i wysp rzecznych przebywają. Moskity wypędzają je z lasów i zmuszają szukać ulgi w wodach i na chłodniejszych wyspach. Tu okrążają je Indyanie i ubijają polując prawidłowo. Mięso łosia wyżej jest cenione jak jelenia, nawet rena, a wędzony nos uchodzi za niezrównany przysmak. Whymper wyżej je nawet stawia jak ogon bobra, o którym jednak z z uczuciem wspomina. Łosie najczęściej wcale nie zważają na myśliwego, choćby najbardziej wrzawliwego, a popęd zachowawczy zdaje się u nich być bardzo słabym. Whymper nieraz dostrzegał, jak Indyanie zarzynali łosia w wodzie nożami, dla oszczędzenia amunicyi. Umieją oni cicho i zręcznie podsuwać się czółnem pod zwierzę i szybko utkwić ostrze noża w sercu lub grzbiecie. Wyrosły łoś waży 700 funtow, a zdarzały się dosyć często samice, ważące 1.200 funtów. Wody rzek obfitują także w łososie tak tłuste, iż przy smażeniu ich nie trzeba dodawać tłuszczu. Indyanie łowią je sieciami ręcznemi, lub zakładają na płytszych miejscach więcierze. Płyną w swych czółnach jakby flota, a na dany znak zanurza każdy swoją ręczną sieć w wodę, co według zdania Whympera, daje bardzo piękny widok. Łososia 30-funtowego można dostać za 5 igieł, a dzikie gęsi i kaczki ciągną w tej porze w takiej mnogości ku arktycznemu morzu, że ujścia wszystkich rzek morza Beringa są niemi przepełnione, a Smith za jedną igłę dostał od Indyanów 10 sztuk.

Jakich warunków wymaga takie pole łowieckie od europejskiego myśliwego, łatwo można zrozumieć, jeżeli się pójdzie tą drogą, jaką Whymper utorował. Od fortu Jukon u rzeki równoimiennej ostatecznego zachodniego kresu towarzystwa Hudson-bey, szedł ku La Pierre u rzeki Porkupiny, 600 angielskich mil od poprzedniego oddalonej. Następują w długości 80 mil rozlegające się bezdrożne góry Chipewey, przez które wszystkie towary przenoszone być muszą na plecach, dalej fort Macpherson u rzeki Peel, dopływu Makenzie. U rzeki Makenzie leży fort Simpson, od fortu Jukon 1500 mil oddalony. Ale nie tylko musi walczyć myśliwy z ogromem odległości, bezdrożami i trudnością zaopatrzenia; czerwonoskóry dostarcza mu też nieprzyjemnych niespodzianek. Indyanie często nagle opadają białych, którym dniem przedtem jeszcze schlebiali. Podkradają się, podcinają ze świtem pale namiotów tak, że one na głowy spiącym spadają, a wtedy strzelają, kłują i rąbią te czarne szatany owe otulone, żyjące i bezbronne masy, jak długo ślad jeszcze życia pozostaje. Lasy w okolicach więcej południowych są wspaniałe. Sosny i jodły potężne są piękne, a podszycie jest bez wyjątku gęste i pełne powalonych drzew. Pnie 35 stóp objętości, próchnieją obecnie nawet, bezpożytecznie. Tylko ludzie we wszystko obficie zaopatrzeni mogą się w tej puszczy oddawać łowiectwu. Tu trzeba zabierać z sobą rondle, kołdry, kompasy i na to się przygotować, że trzeba tygodnie całe przebyć u ogniska, na posłaniu z sosnowych gałązek. W lesie tną moskity przez najgrubszy nawet welniany koc, a tylko skóra od nich ochrania. Nie są też łowy w ogólności tak wydatnemi, jakby o tem w stosunku do bogactwa zwierzyny sądzić można. Zwierzyna nie da się należycie podejść, zwłaszcza przez białego myśliwego, jeżeli już przez dtugie lata w tych miejscowościach nie przebywał. Chód w gęstem podszyciu sprawia nadto wrzawy tak, że, jak Whymper się wyraża, najczęściej tylko tył zwierza w dali przed myśliwym znika.

Niebezpieczeństwa, jakim tu łowiec podlega, sa liczne i straszliwe. Butler, członek amerykańsko-rosyjskiej expedycyi telegraficznej, prześladując jelenia Cariboeaf, odbił się od obozowiska i zabłąkał. Aby się zorientować, wdrapał się na drzewo, ale gałęź, na której spoczął, złamała się, a on bezwładny i nieprzytomny, leżał przez dwa dni na ziemi. Zdołał wreszcie z wielkim trudem zwlec się i zdążył ku rzece Fraser, którą za pomocą mozolnie zbitej tratewki chciał się spuścić. Lecz prąd bystrej rzeki był zanadto rwący na jego zwątlałe siły. Tratwa uniesioną została na skały i znikła pod jego stopami. Mozolnie dobił się do brzegu i kroczył wzdłuż rzeki przez nieprzebite gąszcze. Dwunastego dnia dowlókł się do pewnej farmy, a paprocie i jagody były w tym czazie jego pożywieniem.

Na północy kontynentów nowego i starego świata, przeważają futra zwierzęce, jako przedmiot łowiecki, a kto pragnie zrozumieć, jakie znaczenie łowiectwo dla pojedynczych miejscowości może uzyskać i o ile ono zawisłem jest od fauny i flory, jako też od klimatu, w ogóle od wszystkich warunków życia przyrody, ten niech się rozpatrzy w Whympera opisie fortu Jukon. W owym forcie doznał on rozkoszy widzenia izby napełnionej futrami. Była to właśnie pora liwerunku. Tysiące skór kunich leżało rozwieszonych na krokwiach, wraz z futrami srebrnoszarego i czarnego lisa, leżały też futra w wielkich kupach. Dzieją się często oszustwa. Ponieważ futro czarnego lisa najwyżej jest cenione, to Indyanie często farbują biały kolor na czarny. Ale Towarzystwo nie lekceważy swego zadania, a urzędnicy badają rzecz gorliwie, w razie wykrycia podstępu zniżają ceny i wymierzają kary. Ciekawą jest taryfa: jedna skóra bobra równa się dwu kunim, albo 2 szylingom. Strzelba cenioną jest zwykle na 40 szylingów, czyli 20 skór. Wszystko ceni się według skór, tytoń, proch, nawet spodnie, mydło, zwierciadła i t. d. Fort otoczony jest w owej porze przez Indianów, a salwy grzmiące śród radości podnoszą malowniczość tej sceny. Indyanie są wówczas bardzo poruszeni, spiewają, tańczą nieustannie i prawie wcale nie spią. Exaltacya wzmaga się nie tylko w skutek podnieconego interesu, ale w znaczniejszej części długością, czyli nieprzerwanem trwaniem dnia. O szybkości, z jaką w arktycznych okolicach lato się pojawia, o uroku letniego obrazu przyrody, nie można nawet w przybliżeniu dać należytego określenia Słońce budzi drzemiącą przyrodę do życia jakby różczką czarodziejską. Promienie słońca pochłaniają lody i gdzie jeszcze przed kilku dniami na ły-

żwach śniegowych biegano, szumią rwące prądy wód. Pełne światło oślepia oczy, kwiaty rozwijają się jednej nocy, noc sama staje się tylko brzaskiem, sen niespokojnem, poruszonem marzeniem, a chmury owadów podnoszą się jakby z lodów. Członkowie Expedycyi szwedzkiej znajdowali już 7. Czerwca na czubałku Hekta Mount, na wysokości 1700 stóp, mnogie chmury komarów. Te wysokie upały krótkiego lata służą indyjskim łowcom, aby dla swych długo trwających wypraw łowieckich przygotować zapas mięsa, opierający się zgniliźnie. Mistrzami są w sztuce konserwowania mięsa za pomocą suszenia, a biały może w tym względzie od nich przyjmować naukę. Starannie oddzielają od mięsa tłuszcz, krają go w cienkie płatki, osypują mąką kukurudzianą, wyciągającą sok z mięsa i suszą całą masę na horyzontalnych łatach na słońcu. W ten sposób prayrządzona substancya nie podlega zgniliźnie, staje się giętką, zwija się w kręgi i ubija nogami. 100 części mięsa dają 26% części pożywnych. Ta metoda konserwowania mięsa jest powszechnie używaną śród mieszkańców indyjskich całego amerykańskiego kontynentu. (Dokończenie nastąpi).

Pierwsze z niedźwiedziem spotkanie.

Zdarzenie prawdziwe.

Przez

Władysława Czaplickiego. *)

„A więc stanowczo jedziemy do Jełówki“ rzekłem do Franciszka Rutkowskiego, mojego najbliższego sąsiada przeznaczonego na mieszkanie do Kaczetatu, odległego o 7 wiorst od Arefiewy, gdzie mnie wysłali Moskale pod pozorem, że jestem „wlijatelnyj czełowiek“ (człowiek wpływowy). Była to wieś przedostatnia poza Arefiewą, była jeszcze jedna wielka wieś nazwana Bierelusy, a potem już tajga i tajga, ciągnąca się aż do miejsc, gdzie ustaje wszelka prawie roślinność i aż do lodowatego morza.

Franuś przyszedł do mnie w odwiedzidy i wówczas stanęła decyzya odwiedzić godnego czci kapłana, ks. kanonika Krajewskiego, mieszkającego w Jełówce, odległej odemnie o 12 wiorst. Gospodarz mój założył koniki do tarantesu i wkrótce znajdowaliśmy się w drodze do Jełówki. Kanonik była to zacna, godna czci osobistość, poważana przez Moskali, kochana i szanowana przez wszystkich polaków zesłanych w tę okolicę na posilenie. Ponieważ w Syberyi nawet kilkaset wiorst nie stanowi odległości, któraby mogła wzajemnemu odwidzaniu się stać na przeszkodzie, bracia nasi porozrzucani po całej Syberyi, wizytowali i rewizytowali się, choć nie raz ten lub ów oddalony był o 100 lub 200 wiorst jeden od drugiego. Jazda sybirska szalona, nikt nie zna tam jazdy innej jak czwałem. Jakkolwiek właściwie nie wolno nam było wydalać się z miejsca zamieszkania, Moskale na nasze przejazdki patrzyli przez szpary i nie było prawie wypadku, ażeby z tego powodu ktokolwiek z nas doznał jakiej przykrości. Tak samo miała się rzecz i z palną bronią, co surowo było zakazane a mimo tego prawie każdy z nas posiadał przynajmniej jednę sybirską gwintówkę. Otóż i my także z bronią w ręku wybrali się do kanonika. Dzień był prześliczny, pogodny, jasny, a jakkolwiek była już to pora do jesieni zbliżona, skwar słońca dokuczał silnie, mimo tego każdy z nas w siatce na głowie nie zwracał uwagi na te niezliczone roje owadów, jakie z całą zaciekłością rzucały się na nas i na nasze konie. Dziarskie koniki pomykały szybko, kopytkami jakby niedotykały ziemi i zanim spostrzegliśmy minęliśmy Kaczetat, siedzibę Rutkowskiego i przez przecudnej piękności lasy przejeżdżaliśmy niemal lotem ptaka i zatrzymali się przed domem kanonika. Na powitanie nasze wyszedł z domu z wielką powagą gospodarz kanonika poczciwy moskal z rękami jeszcze do modlitwy złożonemi. Kłaniając się nam dokończał zapewne jakąś modlitwę, gdyż przeżegnał się po trzykroć i dopiero z weselszą twarzą nieco szybszym ku nam postąpił krokiem, a dając znaki, ażeby zachowywać się cicho, szepnął nam na ucho: „wasz ksiondz otprawlajet molebeń“ (wasz ksiądz odprawia mszę).

Nasi kapłani w Syberyi odprawiali nabożeństwo, jakby mszę świętą, jak za czasów pierwszego chrześcijaństwa, jak za czasów najsroższego prześladowania, cicho i bez wszelkiej ostentacyi. Na te nabożeństwa odprawiane co dziennie, uczęszczali bez wyjątku wszyscy nasi bracia, znajdujący się w pobliżu siedziby kapłana, a że nasi kapłani zachowywali się wzorowo, szlachetnie i we wszystkiem z wielką postępowali godnością, wszyscy nasi ostentacyjnie niezwykłą u Moskali oddawali im cześć. Rozumie się, że całego nabożeństwa wszyscy słuchali na klęczkach. W początkach poglądali Moskale na to z niedowierzaniem, ba nawet z półuśmiechem, przekonawszy się jednak, że ani cześć nasza dla kapłana ani szlachetne tychże kapłanów postępowanie, żadnej nie ulegają zmianie, powoli innego zaczęli nabierać przekonania, a w końcu przyszło do tego, że sami poczęli uczęszczać na nasze nabożeństwa i naszym księżom niemniejsze od nas oddawali uszanowanie i tak nieograniczone ku nim powzięli zaufanie, że częstokroć kilka słów naszego kapłana rozstrzygały najzawilsze od wielu lat trwające między nimi spory.

Na palcach weszliśmy do domu, i cicho otwierając drzwi, nieznacznie wsunęliśmy się do pokoju. Kanonik Krajewski odprawiał mszę św., a kilku towarzyszów mieszkających w Jełówce tudzież moskiewscy domownicy oraz niektórzy Moskale z sąsiedztwa, zajęci modlitwą, z istnem namaszczeniem tego świętego słuchali nabożeństwa. Cicha msza taka w swoim rodzaju głębsze może czyniła wrażenie, niż msza głośna przy hucznych organach lub dźwiękach muzyki. To też i my obadwaj i mój gospodarz uklękliśmy

*) Zmarły w Czerwcu 1886 r. ofiarował na kilka tygodni przed śmiercią dla „Łowca“ dwie prace swoje, z których jedną obecnie umieszczamy.

także z pokorą. Msza miała się ku końcowi, wkrótce więc pobłogosławił nas świętobliwy kapłan, a gdy on od improwizowanego odchodził ołtarza, ażeby jeszcze osobno pomodlić się na klęczniku przed małym obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, powstaliśmy wszyscy wyczekując zakończenia modłów ks. Krajewskiego. Wkrótce powstał czcigodny kanonik i powitawszy nas serdecznie, zaprosił na herbatę. Zwyczajem sybirskim olbrzymi wniesiono samowar a kolega Sławiński, którego kanonik dla swoich usług przyjął do siebie, zastawił stół na nasze przyjęcie i nie brakowało tam ni śmietanki, ni masła, pieczywa, rozmaitych konfitur, a nadto podano nam znakomicie upieczonego głuszca. Między innymi towarzyszami znajdowali się z sąsiedniej wsi Szutoczkiny także i koledzy: Węgierski, Jaworski, Maliński, Skarzyński i t. d. Przezacny kapłan każdego z osobna o wszystkie wypytywał szczegóły, jakie odnosiły się czy to do każdego z zapytanych, czy też do ich sąsiadów, o ich życie, zatrudnienie, stosunki i t. d. Nieco później ogólna rozpoczęła się pogadanka i ożywiała się co raz bardziej, osobliwie gdy kanonik, nie pijąc sam nic prócz czystej herbaty i mleka, polecił Sławińskiemu wydobyć parę butelek wybornej nalewki. Kanonik w średnim zaledwie wieku, nadzwyczaj miły i niezmiernie pociągających rysów twarzy a jednak wzbudzający swoją powagą i całem obejściem się prawdziwe uszanowanie i cześć, cieszył się niesłychanie dobrym wszystkich humorem, zachęcał co raz więcej do jedzenia i picia z umiarkowaniem a nawet wynurzył chęć odprowadzenia kolegów do Szutoczkiny, odległej o trzy tylko wiorsty od Jełówki i do odwidzenia w tejże Szutoczkinie księży Czajkowskiego i (podobnoś) Bienieckiego. To oświadczenie przyjęliśmy wszyscy z zapałem i w gronie kilkunastu osób ruszyliśmy do Szutoczkiny.

Szutoczkina leżała naprzeciw Jełówki licząc na prost najwyżej w odległości jednej wiorsty, gdy atoli sioła te wielkie przedzielało jezioro, do którego z powodu grzęskich bagien nie podobny był przystęp i nikt nie trudził się zbudować rodzaju grobli i pomostu, ażeby za pomocą czółen bliższą urządzić komunikacyę, musiano czy to z jednej czy z drugiej strony podłużne objeżdżać jezioro, przez co przedłużała się droga najmniej o dwie wiorstwy. Szliśmy krokiem umiarkowanym z kanonikiem w pośrodku, gdy jedni śpiewali, drudzy gwarzyli wesoło, a tem więcej usposobiała do tej wesołości przecudna, lesista okolica, wonne powietrze i jasność sybirskiej pogody. Zanim spostrzegliśmy, stanęliśmy już u poskotiny Szutoczkiny i wkrótce zatrzymaliśmy się przed mieszkaniem ks. Bienieckiego. Wybiegł do nas rozpromieniony radością i zaprosił do wejścia. Młody ksiądz przyjął nas z równą jak ks. Krajewski serdeczną, staropolską gościnnością, wkrótce bowiem zaszumiał olbrzymich rozmiarów samowar, na stole ukazał się potężny butel nalewki, zaraz potem wniesiono własnej roboty wędliny i marynaty, a oprócz tego zupełnie świeży sterlet w pasztecie (pierog z rybą). U ks. Bienieckiego zabawiliśmy dość długo, czas jednak upływał tak szybko na wesołej pogadance, tak o kraju jak niemniej o naszym w Syberyi pobycie, że nawet nie wiedzieliśmy o tem, iż już około 10ej wieczorem.

W Syberyi głównie w początkach trudno zorjentować się co do czasu, w lecie bowiem prawie wcale nie zachodzi słońce, kanonik jednak spoglądnąwszy na zegarek nagle zerwał się z siedzenia wołając: „ach! zagadałem się z wami, nawet nie spostrzegłem, że nadchodzi czas, w którym zwykłem odprawiać moje wieczorne modlitwy. „Komu w drogę, temu czas. My — dodał zwracając się do mnie i do Rutkowskiego, — zbierajmy się i chodźmy co prędzej“. Znając bogobojność kanonika nikt nie miał odwagi zatrzymać go dłużej, wszyscy więc podnieśli się i gotowali do odejścia i odprowadzenia kanonika aż do Jełowki. W mieszkaniu księdza w całym domu wielki powstał ruch, każdy spieszył z pożegnaniem gościnnego księdza i z pożegnaniem tegoż gospodarzy. Już wszyscy zarzucali gwintówki skałkowe na ramiona z kapeluszem w ręku, gotowi byli do odejścia, gdy rozwarły się drzwi a w nich ukazał się gospodarz, który kłaniając się uprzejmie, mniej więcej w następujące do nas odezwał się słowa: „Podobnoś panowie zamierzacie wracać do domu, pozwalam więc sobie zwrócić waszą uwagę, że właśnie teraz, jak utrzymują powszechnie, czas przejścia niedźwiedzi z jednej tajgi w drugą, a nawet mówił mi mój parobek, który właśnie powrócił z pola, że na drodze do Jełowki spostrzegł świeże ślady ogromnego niedźwiedzia. Ja zatem byłbym tego zdania, ażeby panowie przenocowawszy tutaj, dopiero nazajutrz ruszyli do domu“.

„I cóż“ ozwał się kanonik, „co uczynimy?“. „A cóż“ zawołało kilka naraz głosów, na to przecież zważać niepodobna! przecież nas jest kilkunastu a każdy ma oprócz gwintówki jeszcze i laskę żalazną, niedźwiedzie zwykły chodzić w pojedynkę, nie mamy więc potrzeby jednego obawiać się niedźwiedzia“. — A rozumie się — zawołał Maliński, „idziemy śmiało a jeśli spotkamy niedźwiedzia, skórę jego przyniesiemy z tryumfem“. Całą sprawę oddano pod rozstrzygnięcie kanonika, a gdy ten oświadczył kategorycznie: „Kto z Bogiem, Bóg z nim“ — wszyscy ruszyliśmy w pochód.

Dzień był prześliczny, a chociaż to było dobrze po dziesiątej, słońce stało jeszcze wysoko. Tuż za poskotiną zaraz prześliczny zielenił się las po części brzozowy, po części sosnowy, albo modrzewiowy. Po prawej ręce drogi las czyli tajga, po lewej zaś stronie kilka rzędów drzew, dalej krzaków gęstwina, nareszcie łączka bagnista i jak utrzymują powszechnie nie zmierzonej głębokości jezioro. Z drogi po lewej wprawdzie niewidać łączki, ale w dalszej nieco głębi poprzez drzewa i krzaki pobłyskują tu owdzie wody wspomnionego jeziora. Sybirska tajga mimo całego uroku i wdzięku, przeraża nietylko swoją wielkością, swoją powagą i swoją ciszą ale samą sobą i tym żywym światem, tem królestwem owadów, wśród których się wkracza. Jak wiadomo miliony rojów najrozmaitszych owadów brzęcząc i hucząc rzuca się z niewysłowioną zajadłością na każdego śmiałka, przekraczającego granicę ich państwa, a że opóźniona pora dnia ma w tajdze odrębne swe prawa, w czasie naszego pochodu istne chmury komarów i moszek, rzucając się na nas, za prawdę ocieniały nam jasność słonecznych promieni. Mimo tego wszyscy w rękawiczkach i siatkach na głowie, zabezpieczeni od drobnych żądełek tych jadowitych istotek, postępowaliśmy wesoło spiewając, lub gwarząc. Ale im dalej zapuszczaliśmy się wgłąb tajgi, tem więcej ucichały głosy spiewaków, aż w końcu ucichły zupełnie, a jescze kilkaset kroków dalej, przycichał i gwar rozmowy. Spostrzegłem, że wszyscy towarzysze zniżają ton mowy i tylko kanonik idący po środku niezmiennym mówi głosem. Nagle doleciało uszu naszych krótkie ale przeraźliwe, że tak powiemy, zaryczenie krowy, później nieco przeciągły tejże ryk, zmieszany z rykiem innym, działającym na nerwy wszystkich

moich towarzyszów. Zaledwie bowiem uszu naszych doleciał ten krzyk, jak na komendę stanęli wszyscy i grobowe nastało milczenie.

„Panowie“ zwykłym odezwałem się głosem i chciałem dalej tym samym głosem wypowiedzieć mój plan, ale „Ciszej, ciszej, nie mów Pan tak głośno“ odezwało się kilku z kolegów a na twarzy ich wyraźne malowało się przerażenie. Udając, że tego nie widzę, wyraziłem moje zdziwienie, dla czego żądają, ażebym mówił ciszej, a w końcu dodałem, że skoro jesteśmy już tutaj i jest nas tylu dobrze uzbrojonych a tak walecznych, należy koniecznie zmierzyć się z tym zwierzem, o którym nam Sybiracy z takiem opowiadają przerażeniem. „Ja bym sądził“, pierwszy ozwał się Maliński i dodał bledniejąc na twarzy, chociaż podkręcając swój malutki wąsik: „może byłoby lepiej, wrócić do Szutoczkiny“ „O nie Panie“ odrzekłem tonem stanowczym: „ja nie zwykłem wracać się z pół drogi. Nie przypuszczam, ażeby Panowie, którzy przed chwilą dopiero z taką walecznością objawialiście chęć powracania z tryumfem ze skórą niedźwiedzią, zechcieli cofać się teraz“.

Wśród tej przyciszonej mowy dawał słyszeć się od czasu do czasu to cichszy to głośniejszy poryk niedźwiedzia. Wszyscy pomieszani stali jakby do ziemi przykuci, kanonik tylko sam jeden wśród nas bezbronny uśmiechał się łagodnie, a w rysach jego twarzy przebijała się pewność, że mu nic nie będzie a zarazem półuśmiech mówił wyraźnie, że w stanowczej chwili stchórzyli ci, którzy dopiero tak mówili o swej waleczności.

„Panowie“ ozwałem się znowu, „jest nas tu 15, każdy z nas palną posiada broń, jeżeli każdy z nas strzał swój wymierzy w ucho, niedźwiedź paść musi koniecznie“. „Zgoda“, pierwszy ozwał się Jaworski i dodał: „zgadzam się na to w zupełności“.

„A więc“ zacząłem znowu „na ochotnika! kto zemną?“

Rutkowski milcząc przystąpił do mnie, za nim Jaworski i Węgierski, inni milczeli, nie ruszał się żaden. Kanonik, który stał tuż przy mnie, uśmiechnął się łagodnie ale równocześnie z wyrazem litości na twarzy. W końcu zdecydowali się i oni na wspólny pochód. „A więc Panowie“ zacząłem na nowo „teraz moja komenda, wszyscy na ziemię każdy mierzy w ucho, strzela tylko na pewną dobrego strzału odległość, a w razie nieszczęścia pod słowem jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“.

Po tych wyrazach zboczyłem na lewo do lasku koło jeziora w stronę, zkąd dolatywał nas ryk. Czołgaliśmy się jak węże i co raz więcej zbliżali do celu, przeczołgaliśmy się nareszcie aż w krzaki, czuliśmy, że co raz bliżej jesteśmy niedźwiedzia, a z porykiem jego wyraźnie mieszał się jeszcze głos inny, zapewne głos jego ofiary. Z bronią w ręku z odwiedzionym kurkiem i wielkim palcem na zamkniętej panewce, ażeby przypadkiem niewysypał się proch, czołgałem się naprzód. Nareszcie odchyliłem ostatnie gałązki gąszczu na szkarpie przy łące, a moim oczom zaprawdę grozą przejmujący przedstawił się widok. Najwyżej 30 kroków odemnie tarzając się w krwi, bura leżała krowa, od czasu do czasu ruszała jeszcze nogami, ozór miała wywalony, a głośne, następnie co raz cichsze charczenie wydobywało się z gardła, jeden róg odłamany, zwieszony na oko, na krowie leżało olbrzymich rozmiarów niedźwiedzisko, które lewą łapą trzymając za mordę, a prawą coś koło karku, porykując spoglądało w stronę, gdzie my się czołgali. Uczyniło to na mnie takim strachem przejmujące wrażenie, że pomny na powszechne twierdzenie, iż niedźwiedź taki rozdziera ludzi po otrzymaniu 15tu a nawet 20tu kul, spuściłem kurek z obawy, ażeby gwintówka niewypaliła przypadkiem i jeszcze ciszej niż poprzód wycofałem się z obrębu niebezpieczeństwa. Wycofując się i dostawszy się na drogę ujrzałem tylko kanonika, Rutkowskiego, Jaworskiego i Węgierskiego, wszyscy inni znikli z widokręgu. Gdy w pół godziny poźniej przybyliśmy do Jełowki, nie zastaliśmy żadnego z naszych towarzyszów, a kanonik odezwał się do mnie: „Wycofanie się twoje panie Władysławie było rozumne, ale tchórzostwo tamtych panów bardzo nieszlachetne, mogło stać się przyczyną wielkiego nieszczęścia.

Hołosko wielkie 8. Lutego 1886.

KORESPONDENCYE.

Lwów 13. Listopada 1887.

Jakkolwiek termin wyznaczony dla obrad najbliższej sesyi sejmowej jest tak krótkim, iż trudno przypuścić, aby wszystkie zamierzone wnioski zostały przedłożone, a tem mniej reforma ustawy łowieckiej, niezawadzi sądzę dorzucić kilka słów do myśli hr. Baworowskiego, wyrażonych w tej mierze w nrze 11 „Łowca“. Nie wątpię, że znajdą się i inni korespondenci, którzy zdanie swoje objawią, a to może posłużyć posłom do dokładniejszego zorjentowania się w tej sprawie, obchodzącej tak żywo liczne koła miłośników polowania i posiadaczów obszarów łowieckich.

Czytając uwagi hr. Baworowskiego, z któremi po większej części się zgadzam, spostrzegłem, że tylko takie można uchwalić ustawy i przepisy, które łatwo dadzą się wykonać, gdyż wszelkie utrudnienia w wykonywaniu kontroli, muszą prowadzić do omijania takowej przez niesumiennych myśliwych lub handlujących zwierzyną.

Szkopuł taki natrafiam w motywach do ustępu 5., omawiających kontrolę, czy zwierzyna ubitą została legalnie lub nie, i na podany przez autora środek godzić się nie mogę, bo uważam to za niemożliwe, aby do każdej sztuki zabitej zwierzyny, która przychodzi na targ, dodaną była licencya. Jak często wydarza się bowiem, że myśliwi rozjeżdżają się wprost z kniei do domów, mianowicie w okolicach wielkich miast i często przez gospodarza obdarowani zwierzyną, czy też nabywszy takową, jak n. p. przy spółkach i towarzystwach myśliwskich, wiozą ją z sobą do domu. Jakże tu opatrywać każdą sztukę w licencyę, a jakaż pewność, że licencya dana raz na niepewne, nie będzie powtórnie użytą do zwierzyny nieprawnie nabytej.

W tym celu proponuję następujący proceder. Kosztem tych instytucyi, na których korzyść opłacane być mają karty myśliwskie, mogą być sprawiane plomby takiej konstrukcyi, iżby się z łatwością dały umieścić w przedziurawionych uszach

zwierzyny. Plomby takie nabędzie każdy posiadacz polowania własnego lub dzierżawionego w Starostwie lub Radzie powiatowej po cenie ich kosztu i zaopatrzy niemi zwierzynę darowaną czy też sprzedaną. Plomby te winne być tak sporządzone, ażeby straże akcyzowe mogły część ich odjąć na rogatkach miejskich, przezco plomba stałaby się nieużyteczną do powtórnego niedozwolonego ustawą użytku. W ten sposób możnaby bez zachodu każdą sztukę zwierzyny na sprzedaż wystawioną skontrolować, a już biura wydziałów powiatowych wiedziałyby, komu plomby sprzedawać należy. *Z. P.*

Z Tarnopolskiego.

Z powodu projektu do nowej ustawy łowieckiej, omawianej obecnie, pozwalam sobie przesłać uwagę, która mi się nasunęła przy czytaniu sprawozdania z obrad ankiety, zwołanej *ad hoc* przez Wydział krajowy.

Pomijam bardzo wiele punktów tego projektu pełnego humoru, jak: ustanowienie śmierciodajnych granic dla kotów, ustęp o szkodach przez jelenie i daniele zrządzanych i t. p. ponieważ o tych kwestyach pisano już w „Łowcu", a jestem pewny, że projekta powyższe w żaden sposób nie będą mogły się utrzymać w poważnej dyskusyi sejmowej. Chciałbym ochronić tylko ustawodawcę od niedokładności rażącej a wedle zdania mego niesłusznej. Ankieta postanowiła opodatkowanie chartów po 10 zł. od sztuki. Zgadzam się z tym podatkiem luxusowym jako najsłuszniejszą podstawą opodatkowania. Dziwi mnie jednak, że podatek ten nie rozciągnięto także na psy angielskie używane do polowań *par force* t. j. na bigle i foxhundy. Polowania te czyli raczej gonitwy wyprawiane przez amatorów końskiego sportu, nie są właściwie żadnem polowaniem w ścisłem znaczeniu. Przynoszą łowiectwu największą szkodę a bractwo myśliwych choćby z tytułu dręczenia zwierząt powinno jednogłośnie występować przeciw tym zabawom. Złaja kilkudziesięciu psów i kilkunastu koni, gdy szerokim pasem przebiegnie kilkakrotnie w ciągu jesieni milowe obszary tej samej okolicy, goniąc za jednym szarakiem, porozpędza na długo zaniepokojone zwierze w dalekie okolice tak, że myśliwy ze strzelbą, gdyby się zjawił w tych miejscach, błądzić będzie daremnie nie znalazłszy żadnego zwierzęcia.

Myśliwstwo nabiera tem poważniejszego znaczenia, że adepci tego sportu chociaż kultywują łowy dla przyjemności, mają w zysku zabitą zwierzynę i poddają się koniecznym przepisom, aby ile możności zwierzostan podnieść a tem samem bogactwo krajowe powiększać. Zwierz ubity ze strzelby czy też schwytany przez charty, reprezentuje pewną wartość tak, że nie jeden już z dobrych gospodarzy, potrąciwszy koszta zabawy łowieckiej, otrzymuje zysk czysty po obrachunku całorocznym. Wręcz przeciwne zadanie i cele mają amatorowie polowań *par force*. Rozpędzając w dalekie okolice zwierza, niszcząc zasiewy ozime, przy głośnem *hallali* hundsmana, podnoszą tylko kosmyk skostniałego szaraka, jako jedyne trofea Zhecowana ofiara ich zabawy nie reprezentuje już żadnej wartości.

Jak wspomniałem projektowany podatek na charty o tyle jest uzasadniony, gdy go się pojmuję jako podatek luxusowy. Ponieważ zaś utrzymywanie psiarni do biegów myśliwskich, kosztownych koni, licznej służby i całego inscenowania tych polowań, wymaga daleko większego nakładu, więc temu naśladownictwu zabaw „zielonej Irlandyi" u nas na zbożnem Podolu, mogą się oddawać tylko ludzie bardzo możni. Słuszną jest przeto rzeczą, by ci amatorowie cudzoziemskiego sportu, przyczyniali się conajmniej w równej mierze jak charciarze, do zwiększenia projektowanego funduszu na cele myśliwskie. Szczęściem o ile mi wiadomo, nie ma w kraju wiele takich psiarni.

Fundusz krajowy nie zyska wprawdzie wiele. Nie chodzi tu jednak o wielki zysk, ale o zasadę, o ochronę ustawy od przeoczenia czy też niesłusznej względności. Rzucam tych kilka słów w nadziei, że trafią do przekonania wielu i będą uwzględnione przy kodyfikacyi przyszłej ustawy łowieckiej.

K.

Putna (Bukowina) 21. Października 1887.

Tegoroczne łowy na jelenie wypadły co się tyczy liczby, nadzwyczaj pomyślnie. Do 20. Września, do którego to czasu prawie lipcowe upały panowały, jelenie ani znaku o sobie nie dawały. Dnia 20. Września temperatura się znacznie obniżyła, zaczął rosić ów deszczyk, który to w dobrym razie, w czasie jesiennym niekiedy i dwa tygodnie potrwać jest w stanie, i już następnego dnia doniesiono o 3 meldujących się jeleniach. Dnia 22. było już najlepsze rykowisko, a rankiem dnia następnego opłacił życiem pierwszy dziesiątak swe jesienne zapały miłośne. Najgoręcej rykały jelenie około 1. Października, lecz już 7. tego miesiąca rykowisko prawie ukończone było i tylko gdzieniegdzie się jeszcze tak zwane „Grashirsche", słabsze jelenie, odzywały. Do Putny przybył był tego roku hr. Erbach-Erbach z 2 swymi wyższymi urzędnikami i hr. Solms, — pierwszy zastrzelił 5 jeleni, z tych jednego kapitalnego 16-taka, hr. Solms 7, jeden z urzędników hr. Erbacha 1 jelenia. Oprócz tych zabił hr. Graevenitz nadzwyczaj silnego 16-taka, którego pogónka w tej chwili po strzale tak sprytnie sprzątnęła, iż potrzeba było całego aparatu żandarmeryi, by jelenia wraz z winnymi odszukać; br. Laudon zabił również 1.

W ogóle zauważano tego roku znaczny ubytek kapitalnych jeleni powyżej 10-taka, 14-stak lub 16-stak był nadzwyczajną rzadkością główny kontyngens ubitych dostarczyły 10-taki.

Faktowi temu nie można ostatecznie się dziwić; gdzie bowiem na 20000 morgach rocznie 12—15 jeleni strzelanych bywa, gdzie wilki, rysie, kłusownicy i rozmaite choroby i wypadki liczbę powyższą jeżeli nie potrajają, to w każdym razie podwajają, gdzie zwierzyna prócz jakiej takiej ochrony przeciw dwunożnym wrogom, zresztą opatrzności boskiej pozostawioną bywa, niedziw, jeżeli 14-stak lub 16-stak jest rzadkością; o 18. lub 20-takach ani mówić, o tych ostatnich jak o białych krukach opowiada długo jeszcze zadowolona rzesza łowiecka, jeżeli się jej uda zastrzelić, jak to n. p. tamtego roku było

Nie małą szkodę pośród jeleni wyrządzają wilki, które już w tym czasie, podczas tamtego tygodniowych zawieruch śnieżnych do wsi zaglądały. 4. Lipca b. r. wybrano z gniazda całe wilcze pokolenie z 4 sztuk się składające; szanowna mateczka z jednym bachorkiem uznała za lepsze swych kudłów na razy siekiery nie narażać.

Niemniej znaczną szkodę, osobliwie wśród sarn, wyrządzają rysie, którym okoliczne, prawie dziewicze lasy, nadzwyczaj się podobały tak, iż niepodobna ich wykurzyć.

W lasach podgórskich na zetknięciu się z polami, zauważano znaczne pomnożenie się kun leśnych, których n. p. w jednej miejscowości Solki na 6000 morgów w miesiącach Lipcu, Sierpniu i Wrześniu 9 sztuk zastrzelono.

Inna zwierzyna, o ile mi dotychczas wiadomo, trzyma się pośrodku; słonek było mało dotychczas.

W Straży złowiono na wiosnę 4 młode dziczki, w niewoli jednakże zaledwie parę tygodni wytrwały.

Polowania arcyksięcia Rudolfa na orły i sokoły w Luczynie (stacya letnia stadnin państwowych na granicy Bukowiny ku Węgrom) znane są zapewne z dzienników. Arcyksiąże postrzelił jednego sępa i byłby z pewnością więcej zabił, gdyby się były w Luczynie zatrzymały. Wzleciało ze ścierwa około 30 sztuk sępów, z których jednego postrzelił. Następnego dnia po odjezdzie zabito 1 orła i 3 sępy, których to ostatnich po odjezdzie więcej jeszcze padło.

Z innych godnych wspomnień wypadków zasługuje na wzmiankę bukowiński „Jagdschutzverein“, który tego roku pod protekcyą prezydenta kraju Excelencyi br. Pino w Czerniowcach się zawiązał. Celem jego jest ochrona i pielęgnowanie zwierzyny w myśl ustawy łowieckiej krajowej i wojna kłusownikom i ich popieraczom pokątnym i handlarzom zwierzyny. Dotychczas ma to Towarzystwo 65 członków.

Ustawa łowiecka wzbrania wiosenne polowania na słonki. Przeciw temu postanowieniu wywiązała się była w tym roku silna agitacya, zmierzająca w tym kierunku, by słonki i na wiosnę strzelać wolno było, gdyż jak słusznie jeden z mowców zauważył, maleńka Bukowina nie ochroni ani setnej części tych słonek, które Włosi podczas przeciągów wiosennych i jesiennych wybijają. Zwoływano kilkakrotnie zgromadzenia i ostatecznie sprawa ta ucichła, może na wiosnę znowu głosy się podniosą. *C. Kochanowski.*

KRONIKA.

Białykamień 4. Listopada 1887.

Tegoroczne polowania nie uwieńczyły trudów naszych takim skutkiem, jak w roku zeszłym. Pomimo hodowania zwierzyny w porze właściwej, okazał się zwierzostan mniejszy niż w roku zeszłym, widocznie nie sprzyjała pora tegoroczna rozmnożeniu się dziczyzny. Zające dziesiątkowała choroba płucna. Cieszymy się tylko licznemi stadami kuropatw, które pozostawiliśmy w spokoju. Słonek było bardzo mało, a ciąg wiosenny minął bez strzału. Od 1. Lipca 1886. do 30. Czerwca 1887. ubito rogaczy 7 sztuk, zajęcy 101, kuropatw 39, przepiórek 11, słonek 19, kszyków 3, kunę 1, kotów 13, psów 16, jastrzębi 7, i innego ptactwa 8. Zadziwiająco mało lisów ubito tego roku, bo tylko 4, kiedy w roku poprzednim padło ich 27. Na pierwszy strzał wynosi się on natychmiast z rewiru w pole i nie powraca aż na trzeci lub drugi dzień do lasu Jest ich co raz mniej, bo tępimy tego nieznośnego szkodnika.

M. Skopowski.

Byszów 24. Listopada 1887.

W dniach 14., 15, 16., 17. i 18. b. m. odbyło się doroczne jesienne polowanie w Daszawie, majątku p. Felicyi Sozańskiej, w 14. strzelb, którego rezultatem było na rozkładzie: 7 dzików, 23. rogaczy, 14 lisów i 27 zajęcy. Rezultat ten można nazwać więcej niż świetnym, gdy się zważy niesprzyjającą aurę i brak kompletny ponowy. Dodać muszę, że dzików mogło paść więcej, ale brak strzelców stanął na przeszkodzie i dziki wynosiły się z miotów przez nieobstawione stanowiska; co się tyczy sarn, to do tych w wielu miotach nie strzelano, zwłaszcza tam, gdzie się dzików spodziewano. Muszę tutaj oddać zasłużoną pochwałę umiejętnemu i ze wszech miar energicznemu prowadzeniu polowania przez nadleśniczego tamtejszego p. Koczorowskiego, którego pracy, usilnemu staraniu i wszechstronnej umiejętności swego zawodu tak świetny rezultat przypisać należy. *J. hr. Tarnowski.*

Lwów 20. Listopada 1887.

Z zdziwieniem zapyta czytelnik, o czem to pisać z miasta, w którem tyle błękitu dostrzeżesz, ile go ujrzysz z komina, a widokrąg górami zamknięty, nader skąpy daje przegląd, o czem pisać do czasopisma łowiecko przyrodniczego? O czem? O skrzydlatych zwiastunach rychłej a mroźnej zimy w tym roku. W dniach 14. 15. i 16. Listopada pojawiły się nagle na przedmieściach Lwowa nury polarne, mieszkańcy, jak wiadomo, stref zimnych podbiegunowych. W licznych stadach zapadły na przedmieściach Zamarstynowa, Hołoska i t. d., po stronie północnej Wysokiego zamku. Ptaki te z powodu budowy swych nóg nie tylko po lądzie chodzić nie umieją, lecz i poderwać się do lotu z ziemi nie zdołają. Stały się więc łatwą zdobyczą przedmieszczan i włościan okolicznych, którzy tegoż samego dnia przynieśli je w stanie żywym i martwym na targ lwowski. Naiwny ludek lwowski kupował je jako dzikie kaczki odmiennego gatunku i zapewne spożywał. Dziwić się wypada, jak policya zdrowotna lwiego grodu dopuścić mogła sprzedaży tak niezdrowego towaru. Do 20tu figurowały te ptaki na ławach targowych.

Niespodziewane zjawienie się tych mieszkańców polarnych w umiarkowanej części Europy spowodowały silne wichry północno - zachodnie. Prądowi temu nie mógł się oprzeć nawet szybkolotny nur i pojawił się tu zwiastując ostrą zimę. Mieliśmy go w r. 1882. i zima była bardzo mroźna.

„Temu li wierz, co wskażeć zwierz“ — mawiali nasi przodkowie Zmianę temperatury i rychły śnieg przepowiedziały też gęsi dzikie, przelatując wieczorem nad miastem. Wracałem właśnie do domu, gdy ozwało się dosyć nisko w powietrzu głośne gęganie. „Oho — mówi rębacz przedemną idący do towarzysza — ktoś je oczarował taj się furt kręcą“. Nie, pomyślałem, inna w tem przyczyna, złudzone światłem lamp, z dużego na drobne rozbiły się stadka i tłuką się jak Marki po piekle wrzeszcząc, potrwa to całą noc, dopiero brzask dnia wywiedzie je z tej Scylli i Charybdy i z małą stratą zabłąkanych lub złowionych przez ludzi zgromadzą się znowu w dawne stado. Takim złudzeniom podlegają w ogóle wędrowne ptaki. O szyby oświeconych latarń morskich krocie ich się rozbijają. Gazeta illustrowana lipska b. r. podaje w wizerunku takie zdarzenia. Mniejsza, gdy droga wypadnie im ponad oświetlone miasta, pobłądzą choćby przez noc całą, a ze świtem doświadczeni wodzireje głośnem nawoływaniem rozproszeńców łatwo zgromadzą w jedno. stado. Czyż prawdę powiedziały owe ponad Lwowem lecące gęsi? Ziściło się co do joty, zaraz następnego dnia śród wichury spadł śnieg, a rtęć termometru zniżyła się do 8 stopni. *A. Ubysz.*

Na jesiennem polowaniu w Dzikowie, wciągu czterech dni i w 7 strzelb ubito: 147 zajęcy, 2 dziki, 20 lisów, 8 rogaczy i 1 kuropatwę, razem 178 sztuk. Zajęcy mało tego roku. Rogacze oszczędzano, strzelało się tylko w niektórych miotach i przeważnie z rogami.

W połowie Sierpnia b. r. wybrałem się wózkiem do jednej z pobliskich wsi. Na przedmieściu, a raczej folwarku, zwanym Wychelówką, w pobliżu płynie Dniestr, a płaskie jego brzegi, porośnięte wikliną, dotykają pól ornych tego folwarku. Na jednej z wierzb spostrzegłem siedzącego ogromnych rozmiarów orła. Często one zalatują z pobliskich gór aż pod samo miasto. Konie szły wolno, a ja utkwiłem wzrok w orła siedzącego na drzewie. Naraz ujrzałem dziwną scenę. Z zarośli łozowych chyłkiem wysuwa się lis i chwyta kuropatwę w kraju zboża ukrytą. W tejże chwili spada na lisa orzeł i rozpoczęła się między nimi krwawa walka. Ptak zatopił szpony w grzbiet lisowi, a ten pomknął naprzód. Znikli mi z oczów w gąszczy zbożowej. Dobiegłszy do miejsca, gdzie się odbyła walka, zastałem nieżywą kuropatwę. Lisa ani orła, mimo starannego przeszukania zbóż i łozów, nie znalazłem. Kto był zwycięzcą w tym krwawym boju? *M. Bar....*

Nowe strzelby uniwersalne. Wiadomo, że udało się panu R. Dąbrowskiemu złożyć strzelbę uniwersalną, która wielu korzyściami przeważa nad dotąd fabrykowanemi strzelbami myśliwskiemi. Wiadomość ta obudziła żywe zainteresowanie tak u nas jako też za granicą, pan Dąbrowski bowiem otrzymał w przeciągu ośmiu dni przeszło 200 zapytań pisemnych. O konstrukcyi tych strzelb nic nie można obecnie powiedzieć, gdyż pan Dąbrowski otrzymał przywilej na swój wynalazek i radby go od niepowołanych ochronić. W tej sprawie udał się pan Dąbrowski do Belgii i Anglii, gdzie jego wynalazek po ścisłych umiejętnych próbach, uwieńczony został zupełnem uznaniem. Na podstawie owych prób najcelniejsza fabryka broni w Belgii (A. v. Francotte Lüttich) uzyskała za olbrzymią sumę przywilej wyrobu i zajmie się w swej maszynowej fabryce dostarczaniem tych strzelb. Podobny kontraktowy układ ma być zawarty z jedną z najznamienitszych fabryk

angielskich. Z tego, cośmy powiedzieli, można wnosić, że mamy tu do czynienia z nowością nadzwyczajnego dla myśliwstwa znaczenia. Dla Austryi zachował wynalazca dotąd przywilej tylko dla siebie, w części aby przysługę uczynić przemysłowi broni rodzinnemu, z drugiej strony zaś aby cenę i jakość broni uregulować. Tymczasem można broń uniwersalną nabywać u firmy Lüttich, A. v. Francotte, która wyrabia już lufy patentowane i w przeciągu dwóch miesięcy znaczną ich liczbę dostarczy. Patrony metalowe znakomitej jakości, jak też prasowane kule dla broni uniwersalnej wyrabia fabryka patronów G. Rotha w Wiedniu i postanawia cenę za 1000 łusek metalowych, 5 do 6 razy używalnych, na kal. 20, 20 zł. 50 ct., na kal. 16, 21 zł. 50 ct. Łuski dla patronów kulowych są o 5 zł. droższe. Co do ceny strzelby wynosi ona w wymienionej fabryce belgijskiej za damastowane lub lane stalowe lufy o 5 zł. więcej, jak za zwykłe lufy. W tej chwili te tylko daty podać możemy, później uzupełnimy je bliższą wiadomością o broni uniwersalnej i jej działaniu.

Krukienice 21. Listopada 1887.

Upraszam o umieszczenie tych kilku słów jako przestrogi dla myśliwych, urządzających polowania na dziki. W kilku miejscach przyjęto system polowania, praktykowany w Krukienicach. Dziki u nas prawie zawsze uderzają na pogonkę, polujemy przeto w sposób przezemnie w roku ubiegłym w „Łowcu" opisany, mianowicie tak. Obtropiony miot, w którym dziki się znajdują, obstawia się z trzech stron naganiaczami, z czwartej myśliwymi. Po odezwaniu się trąbki naganiacze stojąc w miejscu zaczynają hałasować, bić o drzewa, jeden zaś idzie w tropy za dzikami w miot, nieustannie świszcze i głosi, w którym kierunku dziki idą. Rzeczą jest ważną dla myśliwych orjentowanie, gdzie ów goniec się znajduje. Strzelby brać z sobą idącemu za tropami nie wolno. Jednej wielce niebezpiecznej ostrożności nie wszyscy i nie wszędzie przestrzegają. Jak wiadamo, każdy zwierz, a tem bardziej dzik, zbliżając się do brzegu linii lub drogi staje, wietrzy i wysłuchuje i często staje przed myśliwym na 20 lub 30 kroków. Jeżeli tropiciel idzie gąszczem cicho, to posuwa się w pobliżu dzików, myśliwy dostrzedz go nie może, a spostrzegłszy dziki strzela w miot i bardzo łatwo może zamiast dzika, idącego za nim gońca trafić. Już z tego powodu nie powinien tropiciel mieć strzelby i ciągle się świstem lub głosem odzywać, dając znać, gdzie się znajduje, gdyż hałasując pędzi przed sobą dziki dosyć daleko i myśliwy nie strzeli w miot, gdy słyszy gońca w pobliżu, a w takim razie nieszczęsny wypadek jest niemożliwy. Dodaję, że idący tropem nie tylko wtedy ma się odzywać, gdy dojdzie do barłogu i ruszy dziki, lecz natychmiast skoro w miot wejdzie, często bowiem się zdarza, że barłog znajduje się pod samą linią myśliwych. Niech idzie wolno dobrze się rozpatrując, ale hałasować powinien równo i ciągle, a gdy dziki ruszy niech kroku przyspieszy w celu niepokojenia dzików i niedozwolenia im ani chwili do przystawania i wysłuchiwania.

Jan Ostrzechowski.

W Lipskiej illustrowanej gazecie czytamy: Hr. Gorzeński miał zabić na łowach u hr. Kwileckiego w lasach Wróblewieckich, rogacza jelenia z wieńcem o 24 odnogach.

Sambor, Wrzesień.

Najnowsze statystyczne daty ubitej w austryackiej części monarchii zwierzyny wykazują następujące cyfry: 9624 jeleni, 2741 danieli, 58.070 sarn, 7281 kozic, 2999 dzików, 1.426,000 zajęcy, 65.380 królików, 325 bobaków, 4427 głuszców, 8240 cietrzewi, 9895 jarząbków, 1637 pardw, 3813 kamionek, 1.327,000 kuropatw, 105.517 bażantów, 108.680 przepiórek, 27.341 słonek, 21.864 kszyków, 1322 dzikich gęsi, 48.704 kaczek. Z drapieżnych: 21 niedźwiedzi, 113 wilków, 24 rysiów, (w Galicyi), 26.391 lisów, 10.900 kun i łasic, 20.338 tchórzów, 1064 wydr, 2746 borsuków, 591 orłów i 157.900 różnych mniejszych lub większych drapieżnych ptaków. W miernej cenie przecięciowej przedstawia ta zdobycz jednoroczna wartość $3^1/_2$ milona guldenów, wartość wynikającą z myśliwstwa, od której druga z węgierskiej połowy monarchii nie wiele jest niższą.

Leśniczy Jerzy Martynic złowił w swoim rewirze Zelona w samołowce niedźwiedziej potężnego wilka. Wilk ten był 2·20 metrów długi, z ogonem 3·10 metrów. Istny to potwór. Czaszkę jego preparowano.

Sołotwina. *E. Pachmann.*

Wartość pożywna zwierzyny. Według ścisłych badań dr. Haberkorna jest wartość pożywna zwierzyny w porównaniu z innymi gatunkami mięsa nader wysoką. Uczony ten stwierdził, że w 100 funtach zawierają się następne ilości białka: mięso wołowe 20, cielęce 19·5, baranie 16·5, wieprzowe 16, kuropatwie zaś 28, a zajęcze 23·5 funtów.

Jak kronika z Paryża donosi, wydobyto w r. 1886. z Sekwany prócz ryb również następne drobiazgi: 2021 psów, 970 kotów, 2250 szczurów, 507 kur i kaczek, 3066 kilogr. mięsa, 210 królików i zajęcy, 10 baranów, 2 źrebce, 66 prosiąt, 5 świń, 27 sów, 27 jendyków, 2 cielęta, 3 małpy, 8 kóz, 1 węża, 2 wiewiórki, 3 jeże, 1 papugę, 609 rozmaitego ptactwa, 3 lisy, 130 gołębi i kuropatw, 8 pawi i 1 psa morskiego, ostatniego zapewne z zoologicznego zbioru.

Zemsta łosiów. Czytamy w „Kur. Codz.": Jeden z prenumeratorów naszych, świeżo z Wołynia przybyły, przesyła nam opis ciekawego faktu, zaręczając za jego autentyczność. Fakt ten miał się wydarzyć w majątku Cumań. Miejscowy rządca młodo schwytanego łosia oswoił i przyuczył tak, iż używając go jak konia wierzchowego, przebiegał na nim olbrzymie przestrzenie leśne. Ułatwiało mu to kontrolę w lasach cumeńskich, które amatorowie cudzej własności dobrze już przetrzebili. Otóż niedawno, kiedy właściciel tak niezwykłego rumaka puścił się w odległą knieję, gromada dzikich łosiów, z kilkunastu sztuk złożona rzuciła się na wierzchowca; jeździec zaledwie miał czas ratować się ucieczką na drzewo. Kilka strzałów danych z rewolweru nie mogło odstraszyć napastników. Biły one i tratowały powalonego łosia, dopóki jeszcze tlała w nim choć iskierka życia; zajadłość i wściekłość napastników była przerażającą, pomimo, iż łosie pospolicie są łagodne... Po egzekucyi długo jeszcze przebiegały około trupa, w parę godzin dopiero pozwalając rządcy na opuszczenie niewygodnego stanowiska. Fakt powyższy, jeżeli nie jest jednym z opowiadań myśliwskich przy kominku, dowodziłby pewnej analogii pomiędzy usposobieniem łosi a słoniów. Wiadomo bowiem, jak wielką jest zaciętość słoni dzikich przeciw oswojonym.

W okolicach Petersburga odbył się w Październiku konkurs w polu (Field Trials) dla sokołów, sępów, orłów, jastrzębi i innych ptaków myśliwskich, jak również próby psów i koni myśliwskich, gołębiej poczty, broni, prochu, śrótu, ubrania, uprzęży, powozów i wszelkiego rodzaju przedmiotów, polowania dotyczących. Próby te odbyły się publicznie na zwierzynie wszelkiego rodzaju, jak kuropatwy, przepiórki, kaczki dzikie, zające, lisy, wilki i t. d., trwały zaś do trzech tygodni, przyczem wystawione okazy były sprzedawane. Dołączony był też konkurs strzelecki i konnej jazdy. Główna nagroda Towarzystwa oznaczoną była na 500 rs. *(Przyjaciel zwierząt Warsz.)*

Polowanie w Laxenburgu. W Listopadzie odbyło się tam wielkie polowanie, w którem wzięli udział oprócz wielu innych także ks. Filip Koburg, hr. Artur Potocki i bar. Adolf Brunicki. Ubito 780 zajęcy i 36 kuropatw. Odbyły się również polowania na jelenie w parku i na zające w polach (Feldtriebe).

Gazeta illustrowana Lipska donosi, iż w pewnej miejscowości w Niemczech północnych, na polach przytykających do jeziora, z brzaskiem dnia spadła na żer taka olbrzymia masa dzikich gęsi, że mieszkańcy wioski Sanderhoffen w przeciągu dwu godzin w ośm strzelb ubili 300 sztuk tej zwierzyny. Snać wędrowne to ptactwo nie mało mil nocą ulecieć musiało, kiedy znużone tak blisko myśliwym podejść się dało, iż strzelali w kupę.

Arcyksiąże Rudolf polował na niedźwiedzie w pierwszych dniach Listopada w Görgeny, majętności hr. S. Bethlem. Rezultat był nader świetny, sam hr. Bethlem i ks. Mikołaj Esterhazy ubili po jednym dużym niedźwiedziu.

Według doniesienia Dziennika Polskiego nie będą polowania w rewirach kameralnych galicyjskich wydzierżawiane, gdyż polować tam mają członkowie domu cesarskiego ze swoją świtą i zaproszonymi gośćmi.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.